# PAMIĄTKI

## Z 1863 ROKU.

DWA IZRAELE.

WE LWOWIE.
NAKŁADEM I DRUKIEM W. MANIECKIEGO.
1869.

# PAMIĄTKI

## Z 1863 ROKU.

WE LWOWIE.
NAKŁADEM I DRUKIEM W. MANIECKIEGO.
1869.

# Dwa Izraele.

# Dwa Izraele.

---

## Dwa Izraele.

Arfo Dawida! od wieków milcząca!
W głosie Zygmunta głos swój odzyskałaś
I plac Zygmunta swoją krwią polałaś
Arfo Dawida! ty znowu grająca!
Od wieku z nami lałaś krew na polach
I kości swoje w naszych kładłaś rolach,
I piersi swemi w nasze piersi biłaś
Aż w nas — i nami duszą się zmieniłaś.

Dwa Izraele serca zamieniły
Ze wspólnych nieszczęść wyczerpały siły;
Stanęły razem swym znojem tułaczym
I budzą wszystkich swym proroczym płaczem,
Nowy Izrael odbił twe proroki
Odbił twych wieszczów stary Izraelu!
Idzie do ciebie nakształt wiecznej mary
By swem tułactwem, jak ty być tułaczem
By ci pokazać ludy jak opoki. —

By tobie wskrzesić dawne twoje dzieje!
I z tobą razem wywalczyć nadzieję,
Ty tylko Judo nas jedna odgadniesz
Otchłań tułactwa podniosłaś swą skronią
Przez wszystko przeszłaś, co my dziś przechodzim
My bez dzieciństwa nie ludźmi się rodzim
Dziecinne oczy czarną krew dziś ronią.

Córko proroków! Izraelska lutni!
Jakże my smutni, a wrogi okrutni!
Dla nas obydwóch nie ma tu litości
Nieskończonością, my w nieskończoności;
Moralne głody — materyalne głody
To naszych tułactw są gody; —
O Izraelu! ty na wieki z nami
Jednych my wieńców zwieńczeni cierniami.

Krew naszych dłoni, krwawiła twe dłonie
Z jednych my cierni chodzili koronie
I z jednych źródeł piekielnego zdroja
My pili z sobą! O Judeo moja!
Twą arkę wzięły wszystkie dziatki nasze
A krzyż Polaków dźwignęło twe dziecię,
Za świętą Polskę oddało swe życie.
Z arki Noego niebiańskie to ptasze
O pierś skrwawioną orła srebrzystego
Biło skrzydłami lotu powietrznego.

Nasza ty święta! o ptaszyno Boża!
Nasza ty z niebios wita błyskawico!

Nasza ty gwiazdo! drząca złotolica!
Nasze ty źródło czerwonego morza!
Nasze ty więcej ach! niż wszystkie więcej
Promień krwi twojej, krwi cichej — dziecięcej
Co stopy okrył Zygmunta starego
Purpurą z serca trysnął dziecinnego —

I oddał serce narodu swojego,
Ach! ty wybrany z ludu wybranego
Abyś dwa ludy na wieki połączył
Ślub dwóch narodów krwią swoją dokończył
Dwa Izraele na wieki dziś z sobą
Wszystkich bohaterstw grające ozdobą,
I wszystkich cudów i nieszczęść ofiary
Oddały niebu, jako niebios dary —

Bo już od wieku Izrael jest z nami
Gromem pierś naszą zbiła piorunami
I piorun w piorun, błysk we błyski wpada
I piekło w piekło całe się zanurza
I z tąd ta wściekła, ta tułacza burza
Co po przepaściach przepaścią przepada,
Co nas po bezdnach bezdnem swojem miecie
I to jest całe naszej puszczy kwiecie!!!

Z pod stóp krzyżyka ten kwiatek tułaczy
Wyrasta tobie dziecie Izraelu!
Dźwignąłeś krzyżyk i na czele ludu
Wzrosłeś niebiańsko do polskiego cudu
Śmiercią wpisałeś wśród rycerzów wielu
Żywot promienny niebiańskiej rozpaczy —

Wszyscy na ziemi skronią o proch bili,
Ty jeden tylko z ciężkim krzyżem w dłoni
Stałeś; krzyż polski dźwigając na skroni!
Duch się twój wtedy nad wszystko wysili
I byłeś wielki — cichy — i spokojny
Jedną potęgą ducha tylko zbrojny,
Stałeś, jak posąg Izraela krwawy,
Jak posąg boski — wieszczy i proroczy;
Ale się w prochu ten krzyż nie potoczy
I nic twej dłoni od krzyżowej sławy
Ani oderwie, ni odciągnąć zdoła.

A dłoń ta stoi ku niebu wzniesiona
Ani chwiejąca, tylko stoi silna,
Stoi niedrząca — potężna — niemylna
I stoi skałą cała krwią zbroczona;
I tak nasz chłopcze! nie drzyż konający
Tylko wynosisz krzyż nad wszystkie czoła
I tak my widzim Judei anioła
Z arką na łonie pod krzyżem niedrzący.

A stary kapłan pragnie ochrzcić ciebie
Lecz wody nie ma; polską krew on zbiera,
Która płynęła szeroko w ulicy
I chrzci — chrzci ciebie w polskiej błyskawicy
I tak to dziecie w polskiem krwawem niebie
W źródle krwi polskiej skąpane umiera.

Krew Izraela na krew naszą padła,
We krwi się naszej krew Judy skąpała,

Jedna się drugiej nawzajem oddała —
Twarz Izraela choć kona, niezbladła
Tylko swą arkę wcisnął w swoje łono
A oczy krzyżem wyniesionym płoną —
I tak aniele! połączysz ze sobą
Dwa Izraele! niebiańską ozdobą.

A jakiż pogrzeb tobie Polska sprawia???
Nasz Arcypasterz otwiera Powązki
Dla wszystkich ludów, co Polskę kochają;
Arcykapłani Judejscy śpiewają
Psalmy Dawida, a drzew cnych gałązki
Niosą na siebie do Jerozolimy
Płaczące wierzby, na których zwieszone
Te nieme arfy jęczą w Polski stronę,
Kiedyż ojczyznę wskrzeszoną ujrzymy??—

Tyś nas do siebie o Polsko! przyjęła
Dlategoś także jako my zginęła
Płaczące wierzby! przynosim ci w darze
Pobite arfy lecące w kawały
Nasze przepaście, co nad nami drzały
Tonące w dziwnym — w niesłychanym czarze,
I duch proroczy niesiem Jeremjasza
Ten duch nam mówi, że Polska to nasza
Ojczyzna — Pani i nasza Królowa
Ginące dzieci! to są nasze słowa!

Rzekli i ziemi na arkę wsypali
I ją zmoczyli w krwawej w polskiej fali

I zaśpiewali tak smętno — żałośnie
A chór Jeremiad jak rośnie, tak rośnie
W duszy dwóch ludów coś w natchnieniu pękło
I samo bóstwo dwóch tułactw wyjękło.

Święta Judea swą krew Polsce dała
We wszystkich bitwach judzkie dziatki były
Jerozolimskie cuda zabłyszczały
Krople krwi świętej me ręce zbierały
Judejskie matki łzami krew tę piły
Jerozolimo! chwała tobie, chwała!

Wierzby płaczące! znowu pieśń zaczęły
Arfy pobite biją o gałązki;
Ręce moskiewskie zaparły Powązki
I bez Powązek dziatki twe ginęły;
Wśród Miechowitów twoje dziatki były
Jerozolimskie i polskie mogiły
Nad piramidy Egiptu się wzniosły
Dziatki ginące naszych tułactw posły
Co nas związały swoją krwią na wieki
Okiem ginącem ginące powieki
Ssiemy błyskami cnej Jerozolimy —
Ach! czyż my razem ojczyznę ujrzymy?!

Czy może razem poniesiem tułacze
Dni nasze tęskne — oko co nie płacze,
Bo tylko tyle krwi się z nas wylało,
Że prócz posuchy nic tam nie zostało.
Tylko pojmiecie, co my dziś cierpimy

Kiedy odwieczną niesiem waszą dolę
Tułactwo gromu ach! na naszem czole
Wypiętnowane, niesiem niewolnictwo
Tułacza wieczność, to nasze dziedzictwo!

Dwadzieścia wieków waszego wygnania
Myśmy dźwignęli potęgą konania,
Dwadzieścia wieków zapomnień — pogardy,
Dwadzieścia wieków ciszy — opuszczenia,
Dwadzieścia wieków tej żółci ciekącej
Całej ludzkości ach! wami gardzącej,
I tej rozpaczy i tego cierpienia
Tej piersi świata stalowej i twardej —
Tego bezczucia my odwieczne bole
W naszem tułaczem zaszczepili czole —

I równie cierpiem, jakeście cierpieli
My waszych tułactw anieli;
Idziem za wami jedną tylko drogą,
Wy nas pojmiecie, my wasze odbicie.
Wasze i nasze, to jedno jest życie,
Pierś ludów dla nas okropną i srogą
Nasze proroki, co cudami płoną
Naprożno niebem w ludzkie biją łono.

Prorocy nasi i wieszcze jednacy
Tylko my na to jesteśmy Polacy,
Żeśmy porwali ich święte natchnienie,
Że my ich natchnień i pieśni spełnienie,
Że wasz duch Boży — nieznany — proroczy?

Świętą i wspólną krwią się naszą toczy,
Że Izajasze, boskie Jeremjasze
Zostały wbite w święte role nasze!

Wydrukowane to sterczącą ręką,
To ciałem dziatek całkiem wypisane,
Za ich spełnienie fale krwi wylane
Wypromienione dwóch narodów męką
O! nasze święte o! proroki Boże!
Tylko krwi naszej i męki to morze
Zdoła ogarnąć gienialnego Ducha
Pierś ludzi — ludów i ludzkości głucha!

Czyliż za gienjusz proroków cierpimy?
Wszakże w kościołach słowa ich powtórzą
Widzieć ich w czynach — czynem — czynów burzą
Aż w niebo same niebem je wznosimy;
Oni czczą tylko ich martwę literę
Za zbrodnię mają spełnienie ich szczerze,
Że w życiu ciśniem boskie Jeremjasze
I ztąd te męki, te wygnania nasze!

Chcą całe bezdno proroctw testamentu
Piersią wydostać z starych ksiąg odmętu,
Naprzód wieszczowie nasi to odbili
Później tym duchem aż w niebo się wbili
I czynem wszystko, jak niebem płynęło
Jerozolimskie dziecie krwią bryznęło;
Na obalone Judejskiego ludu
Ciało; tyle się krwi wylało cudu —

Że w końcu poznał, że ktoś jest na świecie
Który podobnie czuje — cierpi — myśli
Że my ich cierpień, ich tułactwa dziecie
I że się nami ich przyszłość nakryśli;
Dwa Izraele z sobą połączone
Ach! razem dążą w zmartwychwstania stronę
Przez wspólną miłość tych cudów dokażą
I na czyn wielki razem się odważą —

Chociaż człowieczeństw w nas się krańce wzdrygną
Jednak świat uzna, że my ducha dźwignią
Dwa Izraele połączą się z sobą
Stara żałoba z dzisiejszą żałobą
Natchnienie bolu zakwitnie cnym bolem
I pójdziem w słońce cnem skrzydłem sokolem.

Od tego Berka, co pułkiem dowodził
Jeszcze za czasów cnych Napoleona,
I od Jankiela którego cymbały
Znała i Litwa i kraj polski cały,
Którego wieszcza ta pierś natchniona
I grom miłości Polski w którą godził
I w pierś swych braci, i te natchnień kręgi
Które świtały na czole potęgi —

I to szlochanie, co płynie z ich duszy
Wyczekiwanie męża przeznaczenia,
Te jęki, które z ich bożnic wychodzą,
I które z naszem łkaniem tam się godzą,
Nakoniec wyschłych wszystkich łez natchnienia
Piorun tułactwa, co w miazgę nas kruszy,
By zgruchotani na nowo wzrośnięci
Nowe żywoty zaczęli, jak święci.

Gdybyśmy razem proroków spełnili
Psalmy Dawida czynami wygrzmieli,
Jerozolimę dawnobyśmy mieli,
Cudem niebiańskim byłaby zesłaną.
Bo tylko sprawdzać czynami potrzeba
A same nieba zstąpiłyby z nieba,

Byle cnotami litera sprawdzoną
Została przez nas. — Takie to zadanie
I taki cel nasz! nasze powołanie!

A teraz będę śpiewać o Jankielu
O wnukach jego, co przed laty wielu
Zagrał na swoich tułactw instrumencie
Dla wracających tych świętych legionów,
Dla tego wodza naszego, polskiego,
Dla tego kwiatu życia tułaczego —
Polsko! od wieku witać cię wśród zgonów
I wiecznie żegnać na krwawym odmęcie —

Ledwieśmy ziemię naszą powitali,
Już cię żegnamy, giniem w krwawej fali
I krew nas niesie bez końca daleko
Ach! my tułaczą po przepaściach rzeką,
Ach! my tułaczem w skałach wodospadem
I wiecznie żegnać licem tylko bladem
Ledwie raz tylko łzawo powitani
Znów oddaleni — znowu pożegnani!

I tylko mierzym wyschniętą powieką
Otchłań tęsknoty — bezdno pożegnania
I tylko łkaniem chrapliwem konania
Codzień wołamy do kraju daleko,
I tylko niosą te śmiertelne blizny
I krwią swą piszą, że nam coraz dalej
Do naszych zagród, do naszej ojczyzny
Czyliż my wrócim na łez i krwi fali?

Jankiel chciał umrzeć tam w Jerozolimie
Zakończyć życie, gdzie jego proroki,
I padł na ziemię świętą — obiecaną
Objął rękami tę puszczę kochaną,
I chciał w swe łono, wbić ten kraj szeroki
I na glob rozbić uczucie olbrzymie,
Bo on po polsku nauczył się kochać —
Kiedy ją ujrzał, zaczął na głos szlochać —

Jedni się na to patrzali niechętnie
Drudzy głowami ruszali namiętnie,
Trzeci się śmieli, lecz on tego śmiechu
Niemógł zapomnieć, tylko odrzekł wzgardą
Polsko! ach Polsko! tybyś zapłakała
Gdybyś łzy moje i boleść ujrzała.
Biedna pierś jego była z żalu twardą
Milczał i dumał — modlił się po cichu —

Bo nikt, nikt łkania jego nierozumiał,
Poznał, że bracia zajęci czém innem
Tęsknił za Polską, za krajem dziecinnym;
Nikt jego duszy pojmować nie umiał.
Wziął on na plecy ztąd wór ziemi świętej

I wraca prędko do kochanej Litwy
Do kraju uczuć — miłości — modlitwy
I był z rozkoszą przez Litwę przyjęty —

Szlachta dawała uczty na przyjęcie
On im grał pięknie, jak dla Dąbrowskiego,
Szlachta słuchała i łzawo dumała
A postać starca codzień szlachetniała,
Nakoniec wyrzekł — Ach! kraju Polskiego
Nie ma drugiego! i znów milczał święcie
Jerozolima tutaj jest miłością.

Kto raz pokochał tę ziemicę świętą,
Dlatego niczem wszystkie cuda świata.
W Polsce masz serce, co ci wciąż kołata
I pokazuje miłość wniebowziętą.
Polsko! ty jesteś mąk nieskończonością,
A razem wiarą — cnotą i świętością
I tem, czem nigdy nikt tu nie wyrazi
Ani pomyśli, ani wyobrazi.

I tu się rodzą Izraele tacy
Duszą i sercem i wszystkiem Polacy:
Jankiel miał syna, co się zwał Jankielem
I on był wieszczem na ojca cymbałach
I on wygrywał w Izraelskich szałach
Miłość ojczyzny; był Polski czcicielem
Równym, jak ojciec, lecz tylko smętniejszym
Dzikszym, straszliwszym, codzień namiętniejszym.

Starzec powoli do grobu się zbliżał
I strasznie wychudł — do ziemi się zniżał;
Syna i wnuków — zawołał synowę,
Kazał cymbały tam przynieść do siebie
I zagrał na nich ach! też same pieśni,
Które słyszeli rycerze boleśni;
Nakoniec oczy topi w jasnem niebie
Wznosi wysoko swą natchnioną głowę

I mówi — „Synu! ty na polu bitwy
„Bosko tam zginiesz w obronie cnej Litwy
„Jeden z twych braci krzyż wzniesie w niebiosa
„Spłynie krew nasza, to jest zorzy rosa
„I póty święta Polska nie odżyje,
„Póki ta rosa wszystkich nie obmyje,
„I morze krwi tej w Polsce się rozleje
„Lecz miejcie w Bogu i w sobie nadzieję. —

„Im okrutniejsze czasy, tem świtanie bliższe!
„I wy me wnuki duszy mej najmilsze
„Także za Polskę zginiecie.
I wziął na ręce to najmniejsze dziecie
I w skroń mu wszczepił swe ostatnie tchnienie,
I tak zastygło ostatnie spojrzenie!
Ręce opadły na cymbały drżące
A łzy dzieciątek ciche i gorące

Na ten instrument padały,
Które najcichsze harmonje wydały
I struny tknięte i drgały i łkały.

Szlachta gromadnie na pogrzeb przybyła
I niosła ciało naszego Jankiela
I cała Litwa żal z synem podziela.
Wzniosła się w niebo żydowska mogiła
Dłońmi Litwinów wzniesiona;
I Litwa godnie przyjmuje do łona
Męża, co Polskę kocha całą duszą.
Kiedyż się więzy Izraela skruszą??

Kiedyż na wieki z Polską się połączą?
Na polu bitwy twe dziatki dni kończą
I to początek twojego istnienia
I twej wolności — twojego zbawienia;
Zbierać krew twoją, tego się podjąłem —
Strumień krwi świeżej w drżące ręce wziąłem
Krew Izraela wszystkim pokazuję
Miłość i świętość twych poświęceń czuję.

O! Niemcy macie swoich Mendelsonów
I okrytego laurem Mayerbera
A my naszego boskiego Jankiela
Kochanka Polski — Litwy przyjaciela
A my wśród naszych litewskich zagonów
Mamy miłości polskiej bohatera
Mamy tę miłość — to święte kochanie
I w Polsce życie i w Polsce konanie —

Bo wy nie wiecie, czem harmonja nasza!
Brylantowana cała niebios płaczem,
Kiedy nam dzieweze zagra lub zaśpiewa,

Kiedy się wszystko krwawą łzą zalewa
Za więźniem ojcem, za bratem tułaczem —
Co wtedy nasze natchnienie ogłasza
Albo milczenie lub ta święta cisza,
Którą niewola ma za towarzysza.

A wtedy postaw poetę Jankiela,
Co ci wygrywa Polski losy całe
I który patrzy łzawemi oczyma
Kiedy to z nieba cna Jerozolima
Zstąpi — przyniesie sprawiedliwość, chwałę,
Kiedy się prawda w rzeczywistość wciela,
Kiedy płaczące wierzbiny pokaże
Ostatnie nasze te ciche ołtarze.

Wierzby płaczące! wy to wyśpiewacie
Jak się tu piosnka wznosi w polskiej chacie,
Jaka to święta i boska prostota,
Gdzie Izraelskie cudem są cymbały;
Jaka poezja w tej ciszy, w milczeniu,
W jednej łzie cichej, w najgłuchszem westchnieniu,
Gdzie czułe serca wszystko dogrywały
Jaka to święta i dziecinna cnota!

Lada gitara — teorban kozaczy
Wyjęczy cały twój żywot tułaczy
I niebo jasne, księżyca promienie,
Wody srebrzystej to srebrzyste drzenie,
Nakoniec łkania duszy utęsknionej
Jerozolimy to raj utracony

I to codzienne cudów wyglądanie
To jest jedyne i w tem nasze trwanie.

To życie całe krwią łzami spisane
I te tęsknoty codzień zgruchotane,
I codzień z siłą całą wracające
Jerozolimskie, to nasze jest słońce!
Dobrze wieszcz wyrzekł — „Miłość i tęsknota
To są dwie przędze naszego żywota!
Do tego dodaj krew naszą najświętszą
Codzień tęskniejszą — żywszą i smętniejszą.

Do tego dodaj cud Jerozolimy,
Za którym drzemy, do czego dążymy
I ta tęsknota do męża przyszłości,
Ku wrogom naszym uczucia miłości
I to wieczyste — codzienne czekanie,
To nieustanne naszych piersi łkanie
I ta łza wiecznie do oczu przykuta,
W tem to pieśń nasza i jéj boska nuta. —

I syn Litwinom na świętą podziękę
Zagrał tęż samą najcichszą piosenkę
Gromem uderzył Izraelskim w struny
Z tych tonów same sypnęły się truny!
I te — te ciała bez trumn walające
To świętej pieśni najświętsze bezkońce,
I znów pieśń w niebo jasne wypłynęła,
Że nasza Polska nigdy nie zginęła!

Tak syn na grobie ojca łzami śpiewał
I stopy ludu łzą gęstą polewał:
„Drodzy Panowie, wy wkrótce ujrzycie
„Gdzie krew wyleję, gdzie poniosę życie
„Nawet te drobne moje małe dziatki
„I one będą bronić świętej matki —
„On to, mój ojciec umierając mówi,
„Przysięgam ojca świętemu grobowi —

„Ale do tego panowie daleko
„Bo nasze dziecię ma krzyż ponieść skronią
„A sercem arkę przymierza!
„Lud Izraela zmieni się w rycerza
„Cały nasz naród ma stanąć pod bronią
„I usłać Polsce drogę krwi swej rzeką —
„Ujrzycie bracia! jak Litwę kochamy
„I czyli wkrótce krwi jej nieoddamy???

Jak on pożegnał najdroższą rodzicę
I w nią zatopił oko, błyskawicę;
Matka mówiła długo po żydowsku
A on, on klęczał milcząc po synowsku;
„Naco się do nich mieszasz? tyś jest żydem“ —
„Matko! jam Polak“ i zapłonął wstydem —
„I za cóż zginę? Polska moim krajem
„I mojem niebem, mojem złotym rajem,
„Gdzieżmy zebrali to tak ciężkie złoto??
„Jeźli nie w Polsce? i na cóż się zdało
„Wszystko, gdybym skrył to nikczemne ciało;
„Polska bogaci nas swoją prostotą,
„Swojem niedbaniem, a my najpodlejsi!
„Od lodów — śniegów, skał — głazów zimniejsi

„Mamyż się ukryć pod najmiększe bety?
„O! nie, nie matko! ja pójdę“ — „Niestety
„To idź — idź synu! lecz pamiętaj dziecię
„Że mnie sierotą zostawiasz na świecie,
„Lecz weź na piersi Mojżeszowe Bogi!
„Bądź zdrów, szczęśliwy — jedynaku drogi!

I Aleksander Lande poszedł w bój —
Święta to wojna, gdy matka żydowska
Łez mu nie dała — żalu — ni przekleństwa
Tylko swe Bogi! nad skronią męczeństwa
Wzniosła ze drzeniem i nie rzekła słówka
I nikt nikomu nie śmiał mówić stój!
Taki wir straszny pęd był poświęcenia,
Nikt nie czuł wtedy bolu ni cierpienia,

Tylko lecieli na tarpejskie skały,
Każdy się naprzód swoim ciałem toczył
I tem szczęśliwszy, im prędzej tam wskoczył
W tę przepaść zgonu — poświęcenia — chwały!
W te gwiazdy jasne — w te blade księżyce
I tak lecieli męże i dziewice
Matki i dzieci do jednego dołu
W jedynej myśli, by zginąć pospołu.

Widzę jednego a z ręką odciętą,
Drugiemu przy mnie nogę odjęto,
Trzeci bez ręki był przy Komorowskim
Wszystko to dzieci twoje Izraelu!
Było ich mnóstwo i wielu ach! wielu.
Albo ta matka, co z starości drzała,
Jednak na Sybir z synem poleciała.

Lecz cóż powiedzieć o tobie nasz drogi!
Któryś na łonie mojem dni dokończył —
Jam twe ostatnie westchnienie wysączył
Ty z piersi zdjąłeś twe matczyne Bogi!

„Ach! powiedz matce, że Polską jest ona,
„Że jako Polak jej syn godnie kona,
„Że całe złoto do Polski należy
„Niech będzie matką dla całej młodzieży,
„Co wkrótce pójdzie biedna i tułacza,
„Że jej syn całe mienie tym przeznacza
„Co pójdą biedni daleko".

Matka spełniła swego syna wolę;
Tem tylko żyje, że wspiera Polaków. —
Iluż zginęło pośród naszych znaków?
Kryje ich ciała każde bitwy pole
I w każdym lesie i nad każdą rzeką
Niepogrzebionych trupów są tysiące
Krwi Izraelskiej to zorze wschodzące.

Tyle krwi płynie i tylu tułaczów
A przecież macie największych bogaczów
Wielką potęgę, złoto piastujecie,
Czemuż swem złotem kajdan nie zdejmiecie?
Czemuż Rotszyldy w złoto nie uderzą?
Dla Izraela kraju nie wymierzą.
Przynajmniej niechaj z ratunkiem pospieszą
Tyrańskwo piekieł zawieszą. —

I Jankiel poszedł swego ojca torem
Przez całe życie był on jemu wzorem;
Zatęsknił także do Jerozolimy,
Z księgą proroków zstąpił na tę ziemię
I porównywał nowych ze starymi
I te dwie księgi na sercu ujrzymy
Które dźwignęło naszych niebios brzemię —

I porównywał psalmy ze psalmami
Dawnych proroków z naszymi wieszczami,
Ziemię zniszczoną ze ziemią zniszczoną
I dwie te puszcze oprawione w łono
Jednej najświętszej ach! Jerozolimy;
Jednych pożarów objęły ich dymy
I jednym gruzem płonącego piekła
Jedna dłoń wszystko wyniszczyła wściekła.

I dwa te dziwne i straszne zniszczenia
W jeden kłąb dymu wszystko rozpłomienia,
Owiane jednym duchem proroczym
Z jednych my piekieł pożary toczym,
I z jednych niebios są natchnienia rodem
I jednych cierpień my płodem.

I tu się coraz więcej przekonywa
Jerozolimą Polska nieszczęśliwa,
I znowu wiecznie, toż samo nawzajem
Jerozolimska puszcza polskim krajem;
Nad Polską stare błysnęły olbrzymy!
Czem Juda drzała my tem dzisiaj drzemy

I też proroki tak samo dziś jeszcze
Też same piersi wieczyście natchnione,
W tęż samą, co pierw uderzają stronę,
Najokropniejsze sprawdzenie złowieszcze!
Jankiel też tutaj ani westchnień nie miał,
Lecz w tym wysiłku długo nie wytrzymał —

Bo czuł, że kona, że z uczuciem ginie,
I puszczą serca wcielał się w pustynię;
I pragnął widzieć tych wieszczów żyjących,
By się zapalić do czynów gorących,
Dla tego z puszczy duchem się odrywa
I do Adama do mistrza przybywa. —

Nikt pewnie temu ach! nie wierzy może,
Że biedny żydek chce Adama widzieć
Lecz Polak pewnie, nie będzie się wstydzić
Ojczystej nędzy syna Izraela,
A gdy on powie, że on syn Jankiela,
Gdy u stóp jego swe cymbały złoży —

To Adam jego przyciśnie do łona
I krwawo, gorzko obadwaj zapłaczą!

Zamilkną chwilę i piersią tułaczą
Dzwigną tę przeszłość, co nigdy nie kona —
A żydek upadł do nóg Adamowi
I łkał jak dziecko, lecz słowa nie powie. —

Tylko łzy gradem na instrument padły
A on stał długo milczący i zbladły,
Obaj płakali, ale słów nie mieli,
Na ich siwiźnie zagrali anieli,
I łzy leciały po tej brodzie siwej;
„Litwo! ach! Litwo! kraju nieszczęśliwy!“
Obaj to rzekli i znowu milczenie,
I dusza Żyda rośnie przez płomienie
Miłości kraju, mistrzom wyrównywa
Stopy Adama gęstą łzą polewa. —

A żydek wyrzekł:
Litwo! ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię cenić trzeba ten tylko się dowie,
Kto cię stracił, ja piękność twą w całej ozdobie
Czuję i opisuję, bo tęsknię po tobie —
I znowu obaj w niebiosa patrzyli
„Czy my powrócim? a księżyc bladawy
Rzucił swą tęskność na te dwie postacie
„O ja nie wrócę, ale ty mój bracie!
Ty wrócisz — wrócisz; i stał Adam łzawy
I oświecony, bo z niebiańskiej nawy
Gwiazda obłędna w powietrze spadała
Tułaczą dolę mistrza opiewała —

Lecz mistrz wróciwszy do swej spokojności
Z uśmiechem wyrzekł w niewinnej radości:
„Było na Litwie cymbalistów wielu
„Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu.
I znowu słów nie było, tylko głuche łkanie
Tylko przeciągłe — dziwne, zmięszane pytanie
„O! zagraj, zagraj niechaj przeszłość wskrzeszę
„Niech po dawnemu choć raz się pocieszę —

I Jankiel zaczął swego ojca pieśnie,
Ale miał mistrza, ach! mistrza słuchacza.
Bez mistrzów takich, coby cię pojęli
Najwięksi wieszcze jużby zaginęli
I tak mistrz Adam pieśni nie uwłacza
Tylko jej słucha z rozkoszą — boleśnie
A Jankiel zagrał z czuciem po swojemu,
Lecz cóż wyrówna spiewowi naszemu??

On całą Litwę pod stopy mu rzucił
I Adam bosko do młodości wrócił
I widział Wilję, widział Niemna brzegi
Widział i wojska polskiego szeregi,
Widział rodziny, co do nóg padały,
Widział te dziatki, co się mostem słały
Pod stopy naszych bohaterów świętych,
Widział szczęśliwych wszystkich uśmiechniętych,

Widział z rozkoszy, ze szczęścia płaczących
I widział naszych świat przycisnąć chcących,
Jak wrogów swoich do piersi cisnęli,

Samo bydlęctwo — bezczucie z nich zdjęli,
Jak wrogom swoim do nóg upadali,
Za ich stopami, swem się ciałem słali
Prosząc o litość nad sobą samemi.
I żyd tak prosty tonami takiemi

Objął Adama — uścisnął, otulił —
Ach! ty nie pytaj, czy on go rozczulił?
Dosyć, że Adam słowa nie powiedział,
Zatopił oczy w księżyca bladości
I jako kamień na swem miejscu siedział,
Obaj siedzieli, jak Bóstwa żałości.

Obaj zamarli — obaj skamienieli
Tylko ramiony Ojczyznę objęli,
Tylko stanęła Litwa w całym blasku
We krwi tonąca, oparta na brzasku,
Który wykwitał z dzieciąt krwi niewinnej
I powstał naród odrodzon i inny!
W pierś swą cisnący bosko Izraela
I który z wrogiem swą wolność podziela —

I w jego pieśni były i dwa stawy
Ta sławna z nimi urocza rozmowa,
Lecz czyż to wszystko objąć można w słowa?
Ten kraj prześliczny — uroczysty — łzawy
Samem uczuciem, natchnieniem będący,
O sprawiedliwość ciągle krwią proszący —

Czyż objąć można te dęby — te sosny?
Kraj uroczysty, miłośny, żałośny?
A zawsze morzem swoich klęsk natchniony
I wiecznie czujny — do czynu zbudzony;
Zwyciężający, chociaż zwyciężony
Wiecznie ginący — razem odrodzony,
Chociaż jest trumną, wieczną jest kołyską
I odrodzenia swojego tak blizko.

Ach! nikt nie pojmie, ile tam uroku
Księżyca srebra szarej chwili mroku,
Wszystko z jesieni bierze on wieczoru,
Wiosny poranek zaprzęga do choru
I na najwyższym stanąwszy natchnieniu
Cały w cierpieniu, w najczulszych łez drzeniu
Perłą się stacza proroków ginących
Jest krwawym tonem pośród łez grających.

Tyle cię wieszczów bosko opiewało
Wszystko, co rzekli, za mało, za mało,
Dodaj do tego najświętszej krwi morze,
Będziesz miał kraj nasz, wyszły z rąk twych Boże!
Więcej, ach! więcej nie dodaj ni słowa,
Tak się skończyła ta pieśń piorunowa;
Obaj od gromu, czucia popaleni!
Weszli w krainę słońca i promieni!
I znikli raptem dla wzroku naszego —
I Jankiel wraca do kraju swojego —

A później Adam na wschodzie umiera,
Święty lud klęczy przed wrogiem z pokorą;
Dziecię Izrael wznosi krzyż wysoko,
Naród modlitwą był szczerą, głęboką,
Anioły z niebios w czynach udział biorą,
Lud czci to dziecię, jako bohatera,
Nakoniec święta krew ludu wytryska
Spełnieniem proroctw, swem słońcem zabłyska.

Jankiel był wtedy w tej boskiej Warszawie
I widział dziecię, z krzyżem ginące
Wszystko zrozumiał — Izrael jak słońce
Wpłynęło jemu do duszy łaskawie,
Pojął, że czasy wielkie się spełniają
I że proroki w czyny się zmieniają —

Porównał naszych z dawnymi proroki,
Pierwej wstrzymywał, dziś pragnie powstania,
I dzieci uczy, co pójdą na boje,
Na ołtarz Polski kładnie życie swoje
Wszystko poświęcił. — Krew z Judą z opoki
Spadła — pociekła, wśród cudów kochania
Sam potężnieje bohaterską siłą
I pokazuje, że nie jest mogiłą —

I pokazuje, że Jerozolima
Wiecznie wlepiony swój wzrok w niebo trzyma,
Że wyczekuje proroków spełnienia
I że umiera z bohaterstwa — drzenia
I że wysycha ze czczości z pragnienia,
Do bohatera, którego tu nie ma,
Za którym błądzi sercem i oczyma —

Kiedy wam powiem, że sam go widziałem,
I tem, tem kończę, jak piorunnym strzałem,
I Jankiel widział, jak dziatki padały,
A ręce moje u stóp męża drzały.
On był z wszystkimi na linji bojowej,
Mąż jest przysięgam; a zgon siwej głowy
Także widziałem, jak ona padała —
W twarz tego męża z natchnieniem patrzała.
On jest na Boga; a Jankiel umiera
Cichy — spokojny — bo zna bohatera,
Co Polskę z Jerozolimą połączy —
Sam Bóg te pieśni, wskrzeszeniem dokończy.

I pokazuje, że Jerozolima
Wiecznie wlepiony swój wzrok w niebo trzyma,
Że wyczekuje proroków spełnienia
I że umiera z bohaterstwa — drżenia
I że wysycha ze czczości z pragnienia,
Do bohatera, którego tu nie ma,
Za którym błądzi sercem i oczyma —

Kiedy wam powiem, że sam go widziałem,
I tem, tem kończę, jak piorunnym strzałem,
I Jankiel widział, jak dziatki padały,
A ręce moje u stóp męża drżały
On był z wszystkimi na linji bojowej,
Mąż jest przysięgam; a zgon siwej głowy
Także widziałem, jak ona padała —
W twarz tego męża z natchnieniem patrzała.
On jest na Boga; a Jankiel umiera
Cichy — spokojny — bo zna bohatera,
Co Polskę z Jerozolimą połączy —
Sam Bóg te pieśni, wskrzeszeniem dokończy.

# Rossianie.

# ROSSIANIE.

## Rossianie.

I dzisiaj znowu u stóp rozklęczeni
Szukamy w waszej duszy tych promieni,
Coby was dziwem świata uczyniły;
Takich cnót waszych! coby świat olśniły
Szukamy morzem naszego męczeństwa
Śladu ludzkości, szczytu człowieczeństwa
I tej litości, którą otaczacie
Więźniów w podartej, w pokrwawionej szacie. —

Bo kiedy katy was nie bałamucą,
Kiedy ujrzycie w nas tę miłość bratnią
A w oczach naszych, dla was łzę ostatnią,
Kiedy się więźnie w swe objęcia rzucą,
Toć i wam w oczach zaświecają błyski
Rzucacie słów litośnych i czynów pociski;
I przyciskacie litość do czułego łona
I przyciskacie Polskę, co nigdy nie kona. —

Bo Polska! bracia, ona jest litością
I kawał chleba bratni wam pokażę,
Co drżącą ręką Rosjanin podaje,
Temu, co z głodu prawie żyć przestaje,
I z wdowich groszów wznosi wam ołtarze
I pokazuje was zdobnych ludzkością
I kawał chleba nie jest zapomniany,
Który z rąk waszych ma więzień wygnany

Ach! litość waszą, ludzkość waszą świętą,
Gościnność, którą braci otulacie,
Nakoniec szczęście uznać was za ludzi,
To mnie do śpiewu, to do pracy budzi,
Że Polska przez was, jest, będzie pojętą,
Że ją za siostrę najrodzeńszą macie.

Gdybym ja liczył wszystkie kubki wody
I kęsy chleba, które podajecie,
Żebym przeliczył wszystkie łzy błyszczące,
Które nad Rossią wschodzą jako słońce,
Szczęśliwi bracia! w te najświętsze gody,
Żeście wy ludźmi, że bosko żyjecie
Ach! to jest wszystko, co pokazać światu
Pragnę, i że dziś błogosławię bratu.

Bo my szukamy pojawów żywota
Szukamy ludzkich — człowieczych przymiotów,
Szukamy serca i szukamy ducha,
Ztąd dzwięk tych kajdan i dzwony łańcucha!
Tak się wydzwania wasza prosta cnota

I ztąd w tych piersiach tyle ostrych grotów —
I tak dzwonimy jak na podniesienie
By z was wydobyć czucie i sumienie.

Wszakże od wieku my na was wołamy
Że tam są myśli, że i tam są dusze!
I zato tylko ach, zato giniemy,
I serca nasze — wszystko oddajemy,
Rozłamujemy przepaście i głuszę
Ciało, krew naszą wam dla was oddamy,
Byle was widzieć, czem prawie jesteście
O! bądźcie nami, nasze serce weźcie

Czegoż my chcemy, czyż waszych podbojów?
Ach! tylko zgonów, za was, dla was znojów
Bogactwa duszy i litości trocha,
Pokaż nam tylko, że twe serce kocha,
Pokaż, że myślisz, że czujesz, że żyjesz,
Że twoją przyszłość z naszych cnót uwijesz,
Że nas poznajesz, oceniasz głąb ducha
A błogosławim ten ciężar łańcucha.

My dziś tak drzemy do twej pierwszej zorzy
I w was szukamy pierwszej myśli bożej,
Szukamy życia i pierwszego tchnienia
I najpierwszego uczucia — spojrzenia.
Ach! my już tyle naszej krwi wyleli
By was zbudzili swobody Anieli
I pierwsze błyski waszej łzy kładniemy
I za łzę każdą wszystko oddajemy.

Kiedy łza pierwsza zabłysła nad nami,
Tośmy w pierś ziemi wbili ją czołami,
A kiedy pierwsze wzniosło się westchnienie,
Tośmy skroniami rozbili kamienie,
A gdyście kroplę czystej dali wody
Tym dziatkom naszym, dziatkom cnej swobody,
Tośmy morzami łez zaryczeli,
Serca wydarli, do twych stóp cisnęli —

Kiedy wasz żebrak kęs czarnego chleba
Martwemu z głodu podał rękę drżącą,
Tośmy ujrzeli już otwarte nieba!
I Matkę Boską na was łzą grającą,
Bo nam nie wiele potrzeba dowodów,
Najwięcej idzie o współczucie wasze,
Toć gdy podnosim łez pełną, krwi czaszę,
Toć domieszajcie choć łzę do tych godów.

Pamiętam, gdyście przez katów wzburzeni
Przeciw nam wyszli ze mnóstwem kamieni,
Gdyście ujrzeli krew z piersi ciekącą,
Gromadę wszystkich na ziemi klęczącą,
Tę boską litość, cośmy dla was czuli,
Wtedyście padli na ziemię przed nami,
Wlekliście czoła za krwi już śladami
I własną piersią o kajdany tłukli
I łza spadała na okowy drżąca —

Bo to zwyczajem jest naszych siepaczów
Wyprawiać zgrają z swoich ulic błotem,

I rzucać na nas plugactwy wszystkiemi,
A my patrzymy z czoły schylonemi
I odpłacamy, naszych modlitw złotem
I prócz litości z serc więźniów, tułaczów
Nic, nic w tej duszy naszej nie znajdziecie —
Na was patrzymy jak na biedne dziecie —

Bo wy niewinni i waszą niewinność
Ku niebu wznosim, modlim się za wami,
Całej krwi naszej jasnemi strugami,
To jest dzisiejsza najświętsza powinność,
Bo dziś innego uczucia nie znamy.
Nic prócz litości nie budzicie w duszy,
Modlitwy tylko do Boga składamy,
Niechaj upadek nami was pokruszy —

Kiedy ta tłuszcza chciała wymordować
Tych wszystkich naszych pędzonych aniołów,
I z prawdą ku wam wyszłych apostołów
I żywcem prawie chciano nas pochować,
Lecz gdy krew trysła, gdy nam czoła zlała,
Kiedy w otwarte oczy wam bryznęła,
To cudem pękła twego serca skała
I choć przelotnie, lecz iskra błysnęła —

Iskra płonąca w barbarzyństw popiele
Z początku tylko coś się w duszy budzi,
Nim w braciach braci, w ludziach uczcisz ludzi
I że dla ciebie cierpią ciągle — wiele
I że dla ciebie wszystko poświęcili,

Nakoniec samych i siebie oddają
I przez was dla was i wami konają
I barbarzyństwo już się w gruzy chyli —

Gdyby pokazać tę biedną krainę,
Gdy to uczucie, pierwsza łza się rodzi,
Jak boskim prądem w krew naszą przechodzi,
Jako chrzci bosko i oczyszcza winę,
I prawie cudem idzie coraz dalej
Na słonecznej natchnień fali —

I niedaremnie idzie armja nasza,
I stotysięcy mężów tam przychodzi.
O! niedaremnie tyle krwi się lało,
I niedaremnie bóstwo Polski stało
I miłość — wolność wam świętą ogłasza,
I niedaremnie do serc waszych godzi
I krwią roznosi wolności sztandary
Z wszystkiego czyni dary i ofiary —

Każdy kęs chleba, który mu podajesz,
Jak votum serca twojego zawiesza,
I przywalone barbarzyństw gruzami
Chwali cię Rossio! ofiar tysiącami:
Czynić ofiary Polsko! nieprzestajesz
I coraz więcej krwi do łez domiesza,
Siebie objaśnia, gdy nie widzi skutku
I więcej męki dodaje do smutku.

I codzień woła, że poświęceń mało,
Do szpiku kości wszystko im oddawszy,

Jeszcze powtarza, że mało miłości
I siebie łamie — swe ciało — swe kości —
Czemże to serce będzie pałało?
Jakiż prąd jeszcze wypłynie najkrwawszy!
Pomnaża czucia, poświęceń i chęci,
Siebie oddawszy, cóż jeszcze poświęci??

Kiedy łzę pierwszą ujrzy we źrenicy
Jeszcze krwi doda do krwi błyskawicy,
Ona pioruny musi z was wywołać
Gromem zbudzonym ty musisz wydołać,
Choć Polskę palą, lecz Polska spalona
Dźwignie was w gromy, choć w piorunie skona
Piorunem w piorun piorunnie zmieniona,
Twą duszę Rossio! podniesie skrwawiona.

Waszą ludzkością serce nasze biło,
Która pochodzi od was, wy ostatni!
Ach! chciałbym podnieść każden cud wasz bratni,
Czego ginące dziecko doświadczyło,
Dziecko ginące bez ojca, bez matki,
Którego mam krwią pisane notatki
Wśród Samojedów, wśród barbarzyństw ludów,
Twoją ja litość dźwignę aż do cudów —

Dziecię was prosi o kawałek drzewa —
Wpół martwą rączką robi krzyżyk mały
I tak to dziecię uczy śmiercią swoją,
A ci współdzicy z dziwnem czuciem stoją,
Pomimo woli czoła się zginały
Z ich się serc w niebo coś zwolna wylewa,
Jakieś uczucie nieznane — dziecinne,
Które w was wszczepia to dziecię niewinne —

Lecz ich opieka, czułość i starania,
Co tylko może cna litość wymyślić,
Co tylko może czułe serce stworzyć,
Na własnem łonie chcieli dziecię złożyć,
To je kołyszą wśród cichego łkania;

Wszystkich ich starań pióro nie określi,
To tchnieniem swoim tchnienie ożywiają,
To w niebo patrząc na ziemię padają —

Któż ich nauczył? — krzyżykiem to dziecię
Już w nich wszczepiło całkiem inne życie,
Już oni dziwnie, bosko przemienieni,
Cierpieniem dziecka w niebo wyniesieni
Dziecię sieroctwem swojem nauczyło
Co najczulszego w naszych krzyżach było.
Raz tylko dziecka ten krzyżek dźwignęli,
Resztę dograli w ich duszach anieli.

Takie to straszne nasze awanposty,
Takieto wrogi, co wam posełamy,
I każde dziecię tylko krzyżyk robi
I z ziemi krzyżów krzyżami was zdobi;
I tylko dzieci my wam posełamy,
Z dziatek splatamy arkady i mosty —
Po martwych morzach krzyżyki stawiają
I za was — wami i przez was konają.

Nakoniec pada to dziecię bez życia —
Oni to ciałko święcie pochowali
I łzę dołączą wśród wygnań ukrycia;
Do skroni jego ten krzyżyk dodali,
Stawią krzyżyki one dziatki tułacze
Krzyże obnoszą po barbarzyństw ziemi,
A jeźli która dziecina zapłacze,
To łzy zasiewa pierśmi rozbitemi;

I póty leją mnogich łez potoki,
Póki westchnienia z tej martwej opoki
Nie wydobędą, czułością największą
Sercem się dzielą z rzeszą najbiedniejszą.

Taka to zemsta, taka wojna nasza!
My tylko dziatki wyprawim ze łzami,
I one tylko krwawemi rękami
Stawiają krzyżyk, który wam ogłasza
Świętość tej polski, która jest krzyżykiem!
I te ich serca po lodach rozsiane —
I te krzyżyki krwią z pod serc stawiane,
Oto jest wszystko z polskich wojowników,
Co tutaj tylko dla was pozostało —
Wasza modlitwa naszą całą chwałą.

W sercu każdego krzyżyk postawicie,
Cicho — niegłośno na ich grób zstąpicie,
Zaczniecie patrzyć, łzawemi oczyma
W jasne niebiosa, albo w twarz księżyca,
Albo w brylantne, w te jasne gwiazd lica —
I szukać wszędzie, czy dzieciny nie ma
I wspominając, jak ona klęknięcie
Pierwsze modlitwy klęczący zaczniecie.

I słów nie będzie, lecz Bóg tam zamieszka
I to jest pierwsza świętych mogił ścieżka,
Którą do Boga, do modlitw pójdziecie,
Swoją mogiłką tego uczy dziecię
Swojemi łzami to wam wypłakało,
Że wasze serce już nie będzie skałą —

I tak swe czoła w ich grobie złożycie;
Pierwsze świątynie i pierwsze kościoły,
Pierwsze kamienie na świątyń podstawę!
Dają te dzieci przez swe serce krwawe,
I tak, tak idą pierwsze apostoły —
Na podwalinę poszło dzieciąt życie
To pierwsze szczeble do świątnicy Pana,
To awangarda z łez i z krwi wylana —

I tak Sybiru wszystkie prawie szczyty —
Pooznaczane Polaków ciałami.
Nad każdem czołem krzyż boleśnie rośnie
Wyciąga ku nam ramiona miłośnie,
I tam uderza martwemi czołami
I każdy za was jest w tę ziemię wbity —

I lilje rosną po tych sinych sniegach
I krwi ich róże oznaczą te lody,
Lecz muszą uczuć to morze swobody,
I że są ludźmi są w ludzkich szeregach.
I tak to ludzkość za pomocą ludzi
Czucie do cnoty i do swobód budzi.

A nasi, nasi tylko krzyże stawią
Ciałami ludzi coraz głębiej orzą
I krwią ich swoją wykrwawią, wybawią
I życie swoje za nich położą;
I duchem swoim zasiewają niwę
I tak tą drogą idą coraz dalej
I kąpią wszystkich w swojej krwawej fali
I z tego rosną te cnoty prawdziwe —

Wzbudziwszy litość i ludzkość w ich łonie,
Dziatki oddawszy na krzyżów podstawy
I siebie samych kładnąc na ofiarę,
Codzień podają swej krwi pełną czarę —
Nic prócz miłości w ich duszy nie płonie,
I z tej Piotrowej i tonącej nawy —
Nic nie podają prócz najświętszej myśli,
Z tego się przyszłość najjaśniejsza kryśli,

A te dziewice do was wyprawione
Z lilją pogody, z gałązką oliwy,
Czyż to nie obraz Ojczyzny prawdziwy?
Co wam przynosi cnoty nieskończone,
Jestto pieśń żywa, znana Almanzora—
Ale niemściwa i niemuzułmańska,
Ale miłośna — święta — i chrześcjańska.
Tam nie ma zemsty, lecz tylko pokora,
Co ciągle płynie, ale nie od wczora
I miłość szczera, boska Chrystusowa
Gdzie pękły wszystkie pozory i słowa.

I samo tylko płonie poświęcenie
I pragną zdobyć tylko wasze serca,
Czyż to jest mściciel? czyż to jest morderca?
Wasze uczucie, to całe marzenie
I zdobyć wasze święte przekonanie,
Za to ich śmierci — męka i konanie!
Zdobyć uczucie i jestestwo całe —
W tem pokładają wszystką swoję chwałę —

Ach! tam są matki, ach! tam są dziewice
Dzieciny małe; cóż mówić o mężach,
Cóż o kapłanach? cóż o świętych księżach?
Oni w garść swoję ścisnęli ziemicę
I wam rzucają kwiaty i szkarłaty,
Wszystko co mają tu najcudniejszego
Składają Rossjo! u podnóża twego,
Wszystkie swej duszy idealne światy,
Wszystko, co kiedy śniło i marzyło,
Bóstwo narodu swem Bóstwem złożyło —

Oddaje tobie swoich jedynaków
I ona bierze ze wszystkich Polaków,
Co było męztwa i co było cnoty
I opasuje duchowymi sploty
Lodową bryłę przesybirskich granic
I godzi w ciebie cudami błyskawic
Cudami ciała i ducha cudami —
I przebaczeniem błyska nad katami —

Ach! gdyby objąć uczucia ramiony
Wszystkie cierpienia — konania i zgony —
I wszystkie cuda polskiego istnienia,
Które wam rzucą cudem uwielbienia;
Bo oni pragną kochać was i lubić
A muszą tylko krew w przepaści gubić,
To, co krew miała największego w sobie
Wszystko zamknęli w Sybiryjskim grobie —

I grób otwarty wielkiemi oczyma
Wpatrzony na was wzrok zwrócony trzyma

Aż ten wzrok pęka w poświęceń zachwycie,
Pokażcież tylko jedno serca bicie,
Pokaż, że żyjesz — że myślisz, że czujesz,
Że się nad nimi, nad sobą litujesz —

Bo patrz, że pęka sama ostateczność,
Już się nie wzniesie wyżej niebios piękno,
Nic ci większego nikt podać nie może,
Niewinność dusz swych i krwi swojej róże
Tobie przynoszą; całym ludem klękną
I dają myśli i ducha przedwieczność —

Nie mają dla was ukrytych tajników,
Do dna swej duszy wszystko im pokażą,
Po gmachach ducha wszystkich oprowadzą,
Wszystko i siebie oni wam oddadzą
I wśród ostatnich konania wykrzyków
O nawróceniu tylko waszym marzą —

Każdy łzy odbryzg — chęć każdą szlachetną,
Każde pragnienie — początek westchnienia,
I iskrę każdą podmuchem z płomienia
Chcieliby zmienić w gwiazdę jasną, świetną,
Bo się litują oni nie nad sobą,
Ale nad wami barbarzyńce biedni,
Bo w całym globie ach! wy tylko jedni,
Coście nad Polski nie drzeli żałobą.

O Jeruzalem, ona na was woła,
Ileż to razy chciałem zebrać ciebie!

Ale nie chciałaś spocząć w polskiem niebie,
Uwierzyć w Polski bożego Anioła;
Ach! Rossja poszła za Iwanem groźnym,
Chcąc być na wieki ludem wiecznie mroźnym —
Ale krwi słońce musi stopić lody —
Przez Polskę poznasz, czem jest Bóg swobody!

I przywieziono tam matkę brzemienną —
Dziecię się rodzi pod nizką chaciną.
Do sinych lodów o! polska dziecino!
Wyciągasz rączkę po raz pierwszy senną —
I lód wieczysty tobie całym światem,
Najdzikszy człowiek tobie ojcem — bratem
I opiekunem..... i matka umiera,
Rzesza najdziksza oczy jej zawiera. —

Biorą dziecinę we swoją opiekę
I wychowują to dziecię tułacze,
W okół otoczą swojemi pieszczoty.
Dzicz z rąk najgrubszych, najmiększe swe sploty
Stwarza; pierś twardą jakby wonną rzekę
Dziecku podaje, kiedy dziecie płacze,
Toć go kołysze pierśmi stalowemi
Duszę napełnia łzami najczulszemi —

Bo nic nie mają prócz łez najrzewniejszych,
Wszystko tam zmarzło i zamarzło lodem
Oprócz łzy świętej, łzy cichej, łzy jednej;
Bo ty nic nie masz z najbiedniejszych biedny;

Ale nie było rodziców zacniejszych,
Dla których jesteś i szczęścia powodem
I troskliwości niewidzianej w świecie,
Pod czułem okiem rośnie nasze dziecie —

Lecz co jest dziwnem, toć ten instynkt ludu,
Bo go nie dali popom do ochrzczenia,
Ani moskalom go na wychowanie,
Tylko powieźli to swoje kochanie
Tam do Tobolska, do mężów cierpienia;
Pośród wielkiego tej podróży trudu,
Ciągle go nieśli na rękach troskliwych,
Dziecię złożyli u stóp nieszczęśliwych
Rodaków naszych; dziecinę przyjęto:
Prostoto ludu! jakżeś ty jest świętą!!

Jeźli cię mędrsi dotknieniem nie skażą,
Jeźli chytrością swoją nie znieważą?
Wiedzeni tylko ręką Opatrzności
Są dziełem Bożem cnoty i miłości,
Jak oni wiedzą, co komu potrzeba
I lepiej czynią; uczeni przez Nieba,
Bo się zrządzeniu Boga nie sprzeciwią
Prostotą świętą najmędrszych zadziwią.

I tak ksiądz Polak ochrzcił tę sierotę —
Oni odeszli, lecz gmina złożyła
Pieniądze na to dziecka wychowanie;
I tak spełniają rodziców zadanie,

I tak umieli wznieść w niebo prostotę,
A dusza matki duszą się wcieliła
W ten lud niegłośny, cichy i prostaczy —
W nich Bóg swą wolę, niebiańską oznaczy.

I tak lat dziesięć dziecie się uczyło
Od wielkich mężów polskiego wygnania,
I prości ludzie często przychodzili
I jako dzieci z dzieckiem się bawili;
Czułą wdzięcznością serce dziecka biło —
Nie szczędził dla nich pieszczot, ni kochania;
Czego go uczą, ojcom opowiada
I na kolanach dobroczyńców siada,
O Polsce mówi, a oni słuchają;
Łzy dziecka często tych słów doszlochają.

Ruscy brodacze uczą się od dziecka!
Ich osławiona ta dusza zbójecka
Nad tą świętością boskiej Polski drżała
I duszę Polski bosko pojmowała;
Natura wszystkich jednako obdarza,
Bóg szlachetnymi wszystkich ludzi stwarza
W swojej bezdennej i świętej litości
Więcej im daje do dobra skłonności
I łacniej — prędzej cną prawdę pojmują,
Łatwiej szlachetność, niż zbrodnię przeczują

I dziecie rosło, młodzieńcem się staje,
Z nieszczęśliwymi do ojczyzny wraca;
Trudno opisać, jak starców żegnało,

To dziécie, które już w laty wzrastało;
Trudno opisać, jakie łzy im daje,
Jaką wdzięcznością ich serca wzbogaca!

Dosyć, że starce włosami siwemi
Drzeli nad łzami młodzieńca jasnemi —
Rozgłośnym płaczem ich piersi zabrzmiały,
Ręce młodzieńca starców posplatały
I padł im do nóg; słowa urywane
Wyszły z tych piersi:
„O Bóstwa kochane!
„Bóstwa niewinne, najświętszej prostoty
„Ach! wyście wszystkiem dla biednej sieroty!

„Wyście mi więcej, niźli życie dali
„I nie dla siebie wyście mnie kochali,
„Cud wielki, boski, w was zakwitł widomy,
„Wyście przedemną i to roztoczyli,
„Czegoście sami ach! w sobie niemieli —
„Słońce oświaty, nauki ogromy
„Serce zaś cnotą własną wykształcili,
„Wyście, jak swiatła i słońca anieli —

„Miłość wszystkiego was dla mnie uczyła
„I ona jedna cuda uczyniła,
„A wdzięczność moja będzie nieskończona. —
I tak dziecina u stóp rozklęczona
Objęła stopy tych ludzi prostaczych;
Tak pożegnano Polaków tułaczych,
Którzy zanieśli w te Sybiru kątki
Swoich cnót, wiary przykłady, pamiątki

I słonecznemi swych świętości czoły
Przeboską Polskę niosą jak anioły.

Nastał rok wielki świętego powstania —
Poszedł młodzieniec, to Sybiru dziecię
I w stu bataljach swe piersi nadstawił
I w krwawych trudach ten święty rok strawił
Pragnął poświęcić ojczyźnie swe życie.
Śmiertelnie ranny na ziemię się słania,
Do rąk się wroga nieszczęsny dostaje,
Znowu go pędzą w Sybiryjskie kraje.

Chwiejącym krokiem idzie nasz młodzieniec
Słaby — okuty i skrawiony jeniec;
Może go przyjmą rodzice z przekleństwem —
O! nie; bo oni nad jego męczeństwem
Przejasny wieniec roztoczą miłości
On im powtarza: „Dla waszej wolności
„Nasze łzy płoną i płynie krew nasza!!
A jego męka swobodę ogłasza,
I starce płaczą, łzy obfite leją,
Na jego rany siwym włosem wieją.

Z całym uczuciem rozkoszy witają,
Lecz o przyczynę męki nie pytają,
Tylko ich rany czule opatrują,
Wszystkich kolegów do serca przytulą,
Nad nieszczęsnymi dzień i noc czuwają,
Nad ich niedolą bosko się rozczulą
I bez wyjątku wygnańców ratują.

O! Pieśni zadrzyj! nad ich cnotą swiętą,
Odwdzięcz im sercem dla nich rozbijanem,
Pokaż, jak cały naród jest kochanym
Miłością nigdzie w świecie niepojętą,
Że im padali do stóp przez dwa lata,
Że im do rdzeni swego ducha dali,
Że ich unieśli na serc krwawej fali
I że od męki pordzewiała krata —

Ach! chciałbym znaleść faktów coraz więcej,
Waszej litości, waszej gościnności,
Współczucia, choćby przelotnego drzenia,
I z wyszukiwań drzą do szpiku kości
I coraz więcej tych cierniowych wieńcy.
Szukam ach! szukam, jednego westchnienia,
Tam one wszystkie może tam w Sybirze,
Bo tutaj u nas oprócz waszej zbrodni
Innej nie można rozniecić pochodni
W najokropniejszym wiecznej zimy kirze.

Lecz są wyjątki, ja je wam pokażę,
Jako świętości kładnę na ołtarze,
Do nich się modlę, przed nimi się korzę
O więcej — więcej prosimy cię Boże!
Chciałbym całemi toczyć je morzami,
A one tylko cichemi kroplami
Płoną w ukryciu, w prostocie, bez blasku
Dwie, lub trzy perły oceanem piasku
Tak zasypane, że wylać potrzeba
Wszystkie krwi naszej nieobjęte nieba,
Aby łzę jedną wynaleźć — pokazać,
Czyliż nią można, morze piekła zmazać???

O! wy anioły! razem wielkie Panie!
Na bryłach lodu z mężami niesione,
Wy gwiazdy morskie! wy Rossji anioły,
Wy Rossję w niebo wyniosłyście czoły.
Wami to serce moje jest natchnione —
Uczcić was godnie, ach! nikt nie jest w stanie,
Wy wielkie serca i największe duchy
Skute z mężami jednymi łańcuchy —

Największe panie poszły na męczeństwo
Ich życie tutaj, to błogosławieństwo —
Księżna Wołkońska i księżna Trubecka,
Zaczęły świętą niebiańską plejadę
I po Sybirze te postacie blade
Płyną jak postać Epopei grecka
I swym oddechem piekło w raj zmieniają,
One Bóstwami dla wszystkich się stają.

Nasz wielki Adam nie śmiał was opiewać,
Chociaż was widział własnemi oczami,
Lecz za wspomnieniem najczulszemi łzami
W księżyc wpatrzony, umiał ciszą śpiewać;
Bo wiedział, że słów tutaj dla was nie ma

I że pieśń żadna szczytu nie wytrzyma,
Że wasza wielkość sam genjusz upiększa
I że bluźnierstwem pieśń dla was największa,
Że czcić was można tylko łzą obfitą,
Że Polska tylko swą piersią przebitą
Na was w milczeniu, w pokorze pokaże,
Że wy jesteście wszystkich cnót ołtarze.

A ja najniższy! nie bluźnię słowami,
Tylko to powiem, żeście aniołami,
Żeście litanją do bolesnej matki,
To są mej pieśni bezkońce, ostatki
I żeście Rossji przenajwiększą chwałą!
Że ziemia milczy, bo was niegodna!
Lecz serce niebios o was śpiewało,
Że was uczciła Polska swobodna!

Że krwią się modli do was anioły,
Że krwią wam ufa, i krwią was śpiewa,
Że całą ufność w was tylko pokłada
I u stóp waszych swego ducha składa —
Za waszą miłość krew swą wylewa,
Że za zburzone staniecie kościoły,
Boście źródłami cnót narodowych,
Które nie mogą w głaz się zamienić,
Że musi słońce swobody promienić,
Że musi spłynąć cud cudów nowych —
Bo wasze źródło nigdy nie wysycha,
Że cnota wasza jest wieczna, choć cicha. —

Czyż takie źródła wyschnąć kiedy mogą?
Czyliż przykłady zatrzeć się zdołają??
Czyż to, co wielkie zniknąć kiedy zdoła?
Czyż o nich serce co chwila nie woła?
Czyż Rossja dalej ich nie idzie drogą
Czyż wszystkie cuda o nich nie wołają?
Każda łza boska dana w ich imieniu —
One westchnieniem i płyną w westchnieniu.

Za to krwi morze dają kroplę wody,
Albo kęs chleba po drodze zgubiony,
Lecz znaj nas ludu! bądz błogosławiony!
Za te najlichsze współczucia dowody,
Za odbryzg łzy twej, lub za łzy nadzieję,
Albo za przyszłe miłości westchnienie,
Przyjmij cześć naszą, nasze uwielbienie
Chcemy w was wierzyć i z serca nam wieje
Jakieś przeczucie niesłychanie wzniosłe
Z cudów aniołów, z waszych Bóstw wyrosłe.

Bo być nie może i to niepodobna,
Aby ta świętość aniołów żałobna,
Co z dusz Rossjanek święcie wypłynęła,
Aby ich praca tak marnie zginęła.
To niepodobna, bo i tam są dusze
Ja o nich nawet w grobie wspomnieć muszę.
I aby źródła wyschły te najświętsze,
Aby zagasły przykłady największe
Aby ich dusze jedne i jedyne
Wpadły bez skutku w tę lodów krainę.

O! nie, nie bracia, ludzkość ta trwa zawsze
I litość także; łzy płyną w ukryciu,
Westchnienia w bożych duszach są poczęte
Święte niewiasty czczone i pojęte!
Dowody dają ciągle najłaskawsze —
Sercem wtorują tułaczemu życiu.

Jednemu dali kubek świeżej wody,
Drugiemu kawał czarny — twardy chleba,
Trzeciemu ranę w drodze opatrzyli
I nie rzucali błotem i nie bili,
Oto są cnoty, to są nasze nieba
I nasze święte i tułacze gody
I byli tacy, co się z nas nie śmieli
I ulgę przynieść — łzę otrzeć pragnęli —

Może powiecie; że to tylko chęci,
Niech najdrobniejsza każda myśl się święci,
Każden najlichszy odłamek atomu
Wznosim, wynosim do niebios ogromu,
Chcemy, żądamy ich cnoty rozszerzyć,
Chcemy ich stworzyć, pragniemy w nich wierzyć,
Z okruch podanych, z kawałków rzucanych
I z kropel wody tułaczom podanych,
Chcemy im nadać siłę cnót nieznanych
W nasze objęcia dziwnie powróconych.

Nasze objęcia ku wam wyciągnione,
Kolana nasze w prochu rozklęczone,
Czoła się nasze w pyle walające

I serca ku wam czuciem pałające,
Bo chcemy światu pokazać was w chwale
I chcemy widzieć Rossję w ideale.

Każdą łzę waszą w ocean rozdalić,
Wszystko, co niecne, co niezgodne spalić —
O barbarzyństwie ani wspomnieć chcemy,
Za najcichszemi cnotami idziemy,
Za każdą myślą ledwie w was wylęgłą,
Za każdą chęcią jeszcze w czyn niestęgłą,
I za westchnieniem, niewschodzącem z łona,
Że z pięknych uczuć istność twa złożona —

Kiedy wam tylko ich czułość pokażę,
Jak i najdziksi mają litość w sobie,
Jak oni płaczą na tułaczów grobie.
Grób naszych dziatek, to dla nich ołtarze;
Jakiem staraniem biednych otaczają —
Z sybirskich chatek krzyże wyrastają
Z łona tych nizkich chatek najnędzniejszych
Świątynie rosną do nieb najjaśniejszych —

Chatko sybirska! ty świątynią naszą,
W tobie ofiara boska się odprawia;
Gdybym wystawił ciebie z łez wylaną,
Gdybym wystawił z naszą krwią zmieszaną,
Gdzie się najdzikszy uczy i poprawia
Gdzie się cnotami dzikie zbrodnie gaszą,
Gdzie barbarzyńców na ludzi zmieniają,
Żeśmy ach! ludzie, po ludzku poznają

To nasze laury! to nasze zdobycze,
Tych chat Sybiru ja nie przeliczę,
A każda chatka naszym jest kościołem,
Każdy ją tułacz swem promiennem czołem
Krasi, oświeca i ofiarę czyni,
Każda wyrasta do krzyża świątyni —

Sybirska chatka, w nią krzyżyk utkwiony —
Ten krzyżyk polski wygnańców tułaczy,
To cały pomnik w niebo wyniesiony,
To cały pomnik miłośnej rozpaczy,
Cała pamiątka narodu bożego —
Sybirska chatka, pierś krzyża krwawego,
Oto jest wszystko, cośmy zostawili,
Oto jest wszystko, próżno duch się sili —
Większej prostoty nigdzie tutaj nie ma —
My rozpękłemi w to patrzym oczyma.

I krzyż najprostszy w najprostszą chacinę
Wbity, utkwiony, krwią z serca polany —
To wywalczony nasz tryumf uznany,
Za to giniemy i w każdą dziecinę
Wszczepiamy krzyżyk maleńki,
Oto są cele tej krwawej męki,
To cele nasze największe
Zdobywać chatki najmniejsze,
To całe nasze zamiary,
To dla was dary, ofiary —

Zasiewać krzyże i szczepić krzyże,
Krzyżykiem stukać do serc prostaczych

I tylko krzyżyk ze wspomnień tułaczych
Rzucać w najniższych, najprościej, najniżej,
Żeby opisać tę lodów krainę,
Żeby wam odkryć sybirską chacinę;
Na bryle lodu msza odprawiana
Przez zakonnika, Polski kapłana —

Wszystko tam lodem i mrozem ścięte
I wszystko świetne jakby brylantowe,
I łzy tułaczów na te lody cieką
Od łez stopniało; pękło trumny wieko,
Wszystko ogarnia życie inne, nowe,
Ramieniem krzyża wszystko tu objęte
I z lodów krzyże w potok łez pękają,
Chatki sybirskie polską łzą się stają —

I lód odwieczny pęka od ofiary;
Znikają śniegów te lodowe mary,
Na całą ziemię tylko ta łza jedna
Tułacza dola, i nędzna i biedna —
Łzami o lody, o sybir się ciska
I brylant zorzy nad Sybirem błyska.

Na bryle lodu dziecię tu się rodzi,
Na bryle lodu tułacz tu umiera
I w bryle lodu życie bohatera!
Po bryle lodu do grobu przechodzi
I grobem jemu lodów jasna bryła
I lodem tylko grobowa mogiła.

I o lód bije piersią zakrwawioną
Kolebką — łożem — grobem, lodów łono —
Na lodzie msza się święta odprawuje
Ze stosu lodów do świata przemawia;
Boża ofiara tutaj się odprawia,
Lecz kiedy morze krwi i łez tu spłynie,
To lód topnieje, w łzie jednej przeminie,
I w łez djamencie tak się przemieni,
Podniesie morze łzawych promieni.

Diament prowadzi was dalej i dalej,
Pokaże Sybir w brylantowej fali;
I brylant bije w iskierkę rubinu
Wszystko tu czynem i z poświęceń czynu,
Wszystko tu zorza północna oświeca,
Cała natura jako błyskawica;
I uroczyste, wszystko uroczyste,
I tutaj stwórca swe cuda zasiewa,
Zorzę północną tułacz krwią polewa —
I wszystko tutaj jak krystał przejrzyste,
Aby się mogły łatwiej odbić cnoty
I boży łańcuch tej męki — tej złotej.

I o lód bije piersią zakrwawioną
Kolebką — łożem — grobem, lodów łono —
Na lodzie masza się świętą odprawuje
Ze stosu lodów do świata przemawia;
Boża ofiara tutaj się odprawia,
Lecz kiedy morze krwi i łez ta spłynie,
To lód topnieje, w łzie jednej przemienie,
I w łez djamencie tak się przemieni,
Podniesie morze łzawych promieni.

Diament prowadzi was dalej i dalej,
Pokaże Sybir w brylantowej fali;
I brylant bije w iskierkę rubinu
Wszystko tu czynem i z poświęcen czynu,
Wszystko tu zorza północna ogwieca,
Cała natura jako błyskawica;
I urocze, wszystko urocze,
I tutaj stworca swe cuda zaszewa,
Zorzę północną tulacz krwią polewa —
I wszystko tutaj jak kryształ przejrzyste.
Aby się mogły łatwiej odbić cnoty
I boży łańcuch tej męki — tej złote).

# PIERWSZE CHWILE POWSTANIA.

# PIERWSZE CHWILE

## POWSTANIA.

## Pierwsze chwile powstania.

### *Pieśń pierwsza.*

O! ziemio słowa! niczem niepożyta,
Zwyciężająca nawet owe zdrady,
Które w powietrzu duch oddechów chwyta
A wykonywa w ciele szatan blady,
Pozwól, że powiem jak snem upowita
Pięknaś ty była bez znaku zagłady
Na swojem ciele owszem zamyślona,
Czasem piękniejsza jeszcze gdy uspiona.

Ten, kto się jadu w żywocie nabierze
Straszny jest we śnie, mgła go kryć powinna,
Ale spi pięknie, dziecko póki świeże,
Młoda dziewica dopóki niewinna,
Dopóki anioł snu ludzkiego strzeże,
Dźwięczy na licach snu piosenka gminna
I straszny anioł, co jest ludu wiarą
Stoi z płomiennym mieczem za kotarą. —

Dopóki światła w duchu niewyżarły
Duchy żądz ogień miotając przeciwny,
Piękny jest spiący chociażby umarły,
Piękny i w swojej piękności przedziwny,
Więc się spiąc duchy narodowe wsparły,
Ten o kolumnę, ten o pług pożywny,
Trzeci o sztandar oparł się pobladły,
Wszystkie stanęły ale nie upadły —

Słowacki.

Pięknaś ty senna, lecz piękniejsza jeszcze,
Gdy cię zbudzili twe anioły wieszcze,
Gdyś się porwała ze snu proroczego,
Kiedyś powstała do czynu wielkiego!
Bezbronna, drżąca z słowem przebaczenia,
Kiedyś wcieliła swe marzeń natchnienia,
Kiedyś została niebiańskim wawrzynem,
Gdyś świat zbudziła swym nieziemskim czynem.

Boską ty byłaś, gdy stałaś bez broni
Z swą nagą piersią, z łonem bez odzieży,
I otoczona piorunem młodzieży —
I wszystko cmiąca słońcem swojej skroni;
Ciebie opiewać tylko niebo może
I cud najwyższy, Ty największy Boże!

Bo ciebie żaden piorun nie wypali,
Bo już nad ciebie nie pójdzie nic dalej,
Bo ty walcząca z wysiłkiem szataństwa
Nic prócz anielstwa i uczuć kapłaństwa,

Oprócz litości — litości nad niemi
Nie miałaś w duszy swej przeświętej ziemi —
Chciałaś wolności tylko z bracią razem,
Byłaś najwyższym poświęceń obrazem.

Bo tylko młodzież — młodzież była święta.
Jak ona idzie naprzód bez niczego,
Bez broni, koni, bez mieczá krwawego,
Odarta, biedna, w świecie niepojęta —
Mostem się słała pod lonty palące
Tysiąca harmat ziejących śmierć krwawą
Żyjąca sławą i ginąca sławą
Oświeca sobą wszystkie globów końce.

Jeźli ty cudną — uroczystą we śnie,
To obudzona zadrżałaś boleśnie,
Rozkwitłaś serc swych najszczytniejszą różą
I słałaś lilje swojej niewinności
Konwalje swojej przeboskiej miłości.
A twe anioły w purpurze krwi płużą,
Całe uwite ze drzenia księżyca
Wznosiły w niebo swe zranione lica

Czyliż krwi morze ujmie tobie krasy?
Czyliż ten nektar o gwiazdy ciśnięty
Zdarł ciebie z drogi prostej, boskiej, świętej?
Cóż szczytniejszego, jak dzisiejsze czasy?
I cóż większego od naszej młodzieży?
Co jednym gromem po niebiosach bieży,
Co jednym błyskiem niebo zachwyciła
Tylko z krwi własnej swe wieńce uwiła.

Do stanowiska zdobytego ciszą
Dodała krew swą, krwią się w niebo wbiła
I glorią czynów czynu dokończyła,
O którym nigdzie w świecie nie posłyszą
I tu anioły tę wojnę zaczęły
Z morzem szatanów do walki stanęły,
I dały tylko swe bezbronne łono,
Szatanom, którzy całem piekłem płoną —

O moje chłopcy — czyż wy o! biedacy?
Za przedmiot macie, do mej pieśni służyć
Dlatego tylko we własnej krwi płużyć,
Aby krew waszą porwali śpiewacy,
I wynucili tylko własną sławę,
A wasze serca drgające i krwawe
Porwą i w szydne oczy światu rzucą
A wieszcze żyją spokojni — szczęśliwi
A wy giniecie dla sprawdzenia słowa
I krew — krew bryzga — krew świeża — krew nowa,
Co świat przeraża i wszystkich zadziwi —
Słuchajcie krwi tej — to me chłopcy nucą:
Oni są pieśnią — oni są natchnieniem,
Oni krwi drzeniem, jedynem wspomnieniem
I serca tętnem — śpiewem z boskiej toni
Ni rząd — ni głowy — tylko wszystkiem oni —

Najwyższym Polski i globu zaszczytem,
Oni wszystkiego i Polski są szczytem,
Bo wasze rządy, wasze głowy niczem
Przed tych młodzieńców przeświętym obliczem,

Ja u stóp waszych składam wszystko moje,
Jak winowajca u nóg waszych stoję
I wytężywszy wszystkie siły razem —
Do waszej sławy jestem drogoskazem!

I jestem kawał spróchniałego drewna,
Jeźli pierś moja czasem rzewna — spiewna,
Bo jestem wami, ach! na wieki wami.
I z wami splecion uczuć arterjami,
Ja byłem z wami i jestem na zawsze;
I u stóp waszych serce me najkrwawsze
Pękło, i stoi wami tylko drżące,
Wy moje życie! ach! wy moje słońce!

Lecz to wy tylko, nie ci dyplomaci,
Nie ci, co spali — nie ci biurokraci!
Co was na linję bojową wtłaczali —
Sami po obcych dworach się błąkali —
Nie komisarze, i nie cywilusy,
Ale wy święci i boscy wiarusy,
Wy szeregowce, wy moje świętości;
Ja z wami, wami, nawet po wieczności.

Nie śpiewam wodzów, nie śpiewam o rządach,
Lecz o Was bracia! o krwi waszej prądach,
Co na me serce padły, na me lica
I stąd powstała ta z krwi błyskawica;
Bo ta pieśń cała i ten ciągły śpiew,
To wasza dusza i to wasza krew,
Bo gdyby wasza krew tu nie bryznęła,
Nigdyby pieśnią pieśń ta nie błysnęła.

Gdyby skroń wasza tutaj nie konała,
Gdyby ta karta na ranach nie drżała
I tak się w ranę waszą tak przelała,
Że waszą raną sama pozostała;
Ach! gdyby dusza moja was nie niosła,
Czyżby pieśń moja ach! wami tak rosła?
Czyżbym śmiał tą krwią waszą, dla was śpiewać,
Gdybym ja nie chciał za was krwi wylewać?

Czyżbym ja śpiewał? mój głos z was jest wzięty
I wszystko od was, wszystko tylko wami,
Wszystko z was biorę — wszystko wam oddaję
I wszystko tylko wami tu powstaje —
Ja waszą kartą — wy memi kartami;
Mój duch w was tylko na wieki wrośnięty.
Czyż to ja pisał? wasza krew pisała,
Gdy w oczy Niebu i ziemi bryzgała!

Wtedy niejedno bryznięcie tu padło,
Niejedno serce tutaj się rozbiło,
Niejedno czoło leży pod mogiłą,
Ach i niejedno życie tu przepadło. —
Ja szedłem z wami i ślady zbierałem
I jestem z wami mem jestestwem całem —
Tu serce pękło — tam mój mózg wytrysnął,
Tu mojem okiem dziki szał zabłysnął.

Tam wzrok wydarto, tu wydarto duszę,
Tu cały żywot na miazgi pokruszę,
I zbieram, zbieram te podarte szmaty,
Gdzie to mój anioł tych złudzeń skrzydlaty?

Gdzie moje Bóstwo świętego marzenia?
Wy moje pieśni, wy moje natchnienia?
I to, to jedno, co w mej duszy mam,
To jedno tylko, że was wszystkich znam.

I cały ogrom waszej znajomości
Dźwigają moje zgruchotane kości,
Gdybyście sami nie byli pieśniami,
Gdybym ja nie był i z wami i wami —
Jednak to pismo składam pod stopami
I tej krwi waszej i waszego ciała,
Nie śmiem się dotknąć — ręka skamieniała
I tylko niemym i straszliwym gestem
Woła krew na mnie — woła ta krew: „Jestem"

I widziałem ją, jak w grom ugodziła,
Jak błyskawicę sobą oświeciła,
Ja to okropne niosę oświecenie,
W tem całe moje pienie i natchnienie.
I stopionemi mózg spada kroplami
I to się zowie mojemi pieśniami.

## *Pieśń druga.*

Ach! tylko rozpacz w lasy nas wygnała
I nic, nic więcej; — lecz na dnie rozpaczy
Była i rozkosz życia tak świętego
Życia poświęceń i obozowego, —
I dziwnem szczęściem w koło otaczała
Rozkosz niebiańska, niech nam Bóg przebaczy.
Nadzieja śmierci za swój kraj rodzinny,
Nadzieja z niczem nigdy niezrównana,
Biorąca wszystko z Chrystusa i z Pana —
Luba — jako raj wiosenny — dziecinny,
Różami wtedy oddychamy cali,
Choć zima śmierci w tchnieniu, w powietrzu są wonie
I na konwalij kładniem konające skronie —

A wtedy takie szczęście, o bracia serdeczni!
Że gdyby tu stanęli wrogowie odwieczni,
To jest sami szatani, toby od ich wzroku
Stopiłoby się piekło i w niebios uroku
Utonęło, zmienione przed poświęceń Bóstwem.
Gdyby to z piekłem walka, lecz z tych bydląt mnóstwem,
Bydlęctwo jest straszliwsze od stu piekieł razem.

Poezjo! ty nie możesz żadnym swym obrazem
Określić i opisać świętego powstania —
Ty nic dodać nie możesz, niczem go pochwalić.
Na ognisku powstańczym wszystko trzeba spalić,
Co nie jest takie proste, jak wiarusa życie.
Tu nic dodać nie można do tych Bóstw konania,
Tu nic ująć nie można, ani nawet śpiewać,
Tu trzeba tylko z serca za kraj krew wylewać
I tym bryznięciem krwi swej, krwi najserdeczniejszej,
Pokazać, żeś jest sługa z najmniejszych najmniejszy.

Tubym wszystkie genjusze spalił na ognisku,
Cóż one wszystkie znaczą przy tych ócz połysku,
Które całe pałają poświęcenia Bogiem.
Cóż to znaczy zacząwszy nawet od Homera
Przy jednym wielkim czynie Polski bohatera —
Wszystko tu pękło — prysło przed obozów progiem.

Bo te obozy bracia, tylko jednym krzyżem,
Bo gdyby ach! genjuszu do ich opisania
Potrzeba było, albo waszego talentu,
Tobym pewno nie powstał z świętej krwi odmętu,
Tobym wami nie płynął z konań do konania
I nie był wielkim dzwonem, albo świętym spiżem,
Ani tem echem, które ach! ciągle powtarza
Ich świętość — wielkość — Bóstwo poświęceń ołtarza.

Ja jestem tylko srebrnym tym dzwoneczkiem cichym,
Którym brzmią, dzwonią tylko ach! na podniesienie,
Albo grzechotką jestem, której tylko drzenie

Ogłasza śmierć Chrystusa skrzypiącem swem echem,
Która się daje słyszeć tylko w Wielki Piątek.
Taki to był naszego powstania początek,
Rozpacz li nas wiodąca w nieskończoność samą
Bito, męczono Boga, religię deptano
I jeszcze sarkazm, szydną ironję dodano,
I w końcu ostateczność była świętą bramą
Do tych z rozpaczy tylko wyrosłych wawrzynów
I te lasy zagrzmiały pośród cudnych czynów.

I tylkośmy rzucili wrogom nagą skroń
Pierś naszą obnażoną pod stopy wrogowi
Ciskamy; i tak siebie ach! siebie ścielemy —
Na zbawienie tej dziczy siebie oddajemy —
Bez broni — wodza — hasła, niech więc nikt nie powie,
Żeśmy szukali broni — nasz duch to jest broń —

Któryż genjusz, wieszcz który do tych wyżyn wzleci?
Do tych krwawych, promiennych, konających dzieci?
I gdyby nie krwi świętej na mnie to bryznięcie,
Gdybym tego powietrza z obozów niewyssał
I gdybym was tu wszystkich we splotach mych nie miał,
Gdybym z tej boskiej męki jak głaz nie oniemiał,
I gdybym już krwią waszą w waszej krwi nie pisał,
Gdyby nie te słoneczne — te wasze objęcia,
Co mnie przy życiu jeszcze drzeniem swem trzymają,
Tobym pewno tym jękiem nie łkał, ni tem łkaniem,
Ni świętym waszym śmierciom mem własnem konaniem
Nigdybym nie śmiał wtórzyć,
Ani waszego nieśmiał nazwiska powtórzyć.

Wierzę, bom widział własnymi oczyma,
Jakeście ośm harmat wrogom wzięli;
To nie są ludzie, to walczą anieli,
Tu ani broni, ni żelaza nie ma
A jednak naprzód lecą rozpaczą wiedzeni
Nakształt piorunnych — jasnych błyskawic promieni.
Czyż to niedosyć bracia, własną krwią pokazać?
Czyliż niedosyć bracia! to wpisać w niebiosa,
Że tu jest krwią znaczona każda drząca rosa,
Że to jest namaszczenie, co ma błędy zmazać!

Lecz wtedy na niebiosach było także smutno,
Gdy serce Polski pękło pod dłonią okrutną,
Wtedy same anioły nie śpiewały pieśni,
Tylko tak byli smutni, tak byli boleśni,
Jak wtedy gdy na ziemi Golgota się wzniosła,
Kiedy Chrystus Bóg wielki dźwigał krzyż ramieniem
I od krzyża tym strasznym i nadziemskim cieniem
Przysłaniał, nawet szczęście niebios nie promieni
I taka boleść wtedy w niebie się rozrosła,

Że Chrystus zajął chóry tych powietrznych duchów,
By wszystko przygotować na przyjęcie gości
Tych bożych — krwawych dziatek, aniołów młodości,
Które się z ziemskich — strasznych wyrwały łańcuchów
I miały swoje boskie zająć miejsce w niebie —
Najpierwsze prawie miejsce aniele dla ciebie.
O! dziecię Izraela, coś z krzyżykiem padło,
Twoją to postać krwawą i jasną i zbladłą
Nosą chóry aniołów swoimi uśmiechy.

Naprzód cię wykąpały w księżyca kąpieli,
Potem z gwiazdy do gwiazdy nieśli cię anieli —
I potem w drodze mlecznej w tęcz jasnych bezkońcu,
Później cię położyli w najjaśniejszym słońcu,
Aż cię polały w końcu błyskiem cnych błyskawic,
Bo ciebie wiodły, niosły do najwyższysh granic
Jasnych niebios, gdzie Chrystus świetnie się unosił
I patronem naszego powstania ogłosił —

Naprzód z tobą pływają po morzu konwalij,
Która we łzach księżyca srebrem dokwitała,
Później cię na kielichach złożyły lilij,
Później nad tobą gwiazda srebrzysta świtała,
Która morze karmiła swem przewonnem mlekiem,
Później cię połączyły z tym chórem dalekim
Męczeńskich dziewic Polski i męczeńskich dziatek —
I stanąłeś na łonie boleściwych matek,
Cały zlany purpurą krwi od serc męczennic;
I wszystkie zatopiły w tobie grom swych źrenic —
I niosły cię w kołysce z swych rzęsów uwitej
I muskały rzęsami, brylantową łezką
Ducha twego świętego i duszę niebieską,
Przed tobą pękły nawet same niebios szczyty. —

Na przyjęcie więc naszych wszystko się gotuje
I cały święty orszak naszych świętych dziejów
Z pod jasnych stóp płynący, naszych kołodziejów,
Bo nić srebrnej historji aż z niebios się snuje
I nasz Stanisław święty wychodzi na czele
I męczeńskich biskupów, i świętych tak wiele. —

A Skarga na ambonie zasiadł brylantowej
U stóp Chrystusa Pana, ma mówić do ludu,
Czyli raczej do tego niebiańskiego cudu,
Któremu Bóg przysądza wieniec Chrystusowy.
I wszystko się rozjaśnia niebiańskim djamentem
Bóg — niebo — błękit — Skarga, brylantów odmętem.

Tylko ta Pani nasza, ta niebios królowa
Cichą perłę swej duszy na przyjęcie chowa,
Dopiero morzem pereł i swą krwią zapłacze,
Kiedy wejdzie w niebiosa to morze tułacze
Świętych i krwawych dziatek, co poszły na boje.
Miasto oręża stawią piersi nagie swoje,
W miejscu groźb i pogróżek łez błogosławieństwo,
W miejscu zwycięztw i bitew bezbronne męczeństwo.

O! święta młodzi nasza! pieśń tej łzy cię śpiewa,
Ciebie nikt nie oceni prócz Matki niebieskiej
I nikt nie godzien śpiewać, prócz najświętszej łezki,
I nikt morza swych cudów z siebie nie wylewa
Oprócz ciebie, łzo matki! nasza ty nadziejo!
Ciebie nawet anioły dotknąć się nie śmieją.

Bo czegoż łza najświętsza w sobie nie pomieści?
Wszystkie nasze cierpienia i nasze boleści,
I prócz łzy tej najświętszej nic was nie popieści?
Bo ona wszystko miała z tych dziecinnych latek,
I tak była powietrzną jak etern kwiatek
I tak była łagodną jak pieszczoty matek,
I tak przejrzystą była jak woda rodzinna,

I taką lekką była jak piosnka dziecinna,
I taka była drząca jak matka rodzona
Gdy się dziécie wyrywa z matczynego łona.

A taka tęskna — cicha jak ta ziemia cała,
Która się krwią swych dziatek do snu otulała,
I codzień łza promienna na krew naszą pluśnie
I codzień ach! serc tysiąc o nią jedną pryśnie.
Niejedna matka we krwi na jej łonie uśnie,
Niejeden ją męczennik krwią swoją przyciśnie
I cały naród drzący w jej drzeniu zawiśnie.

Bo tam w tej łezce wszystko z dzieciństwa twojego
Masz te wonie, tę świeżość, coś najlepiej lubił,
Masz te szmery wieczorów wiosennych — promiennych,
Masz ciszę uroczystą tych nocy jesiennych,
Masz i tego księżyca, w którymś duch swój gubił,
Masz i to nawet bracie, co ze serca twego
Nigdy nie wyszło, bo to chowasz na dnie duszy
I powiedzieć nie możesz, nie chcesz i nie zdołasz,
A gdy jej szmer usłyszysz, to z łkaniem zawołasz:
Ach! to jest mojem wszystkiem, kamień wnet się skruszy,
I padniesz w ziemię na twarz, padniesz na kolana,
I krzykniesz „O! ty matko — jedyna — kochana“ —
I więcej słów nie będzie, tylko łza zaszmerzy
A grzesznik jednym krzyżem w prochu — w pyle leży.

A ten pył, gdyś nań padła z krwi świętej kurzawą
Uniósł się w serce słońca strugą cichą — krwawą —
A ta łza, gdy padała w każdą krwi kropelkę

Czyniła tęczy kręgi nieskończenie wielkie
A z kręgów nowe — boskie uniosły się kręgi
I utworzyły ogrom największej potęgi.

I krasiły te czyny niesłychane w świecie
I ducha swego kwieciem dokwitały w kwiecie,
Krwi tej młodzieńczej, która jedną różą
Całe pola wiślane czyniła purpurą,
I łza ta przebiegała jedną słońca córą;
Anioły z swych błękitów morzem westchnień wtórzą
W każde ziemskie westchnienie kładną łzę tę świętą
I w każdą śmierć dziecięcia łza ta jest bryźniętą.

I pięć ran Chrystusowych znowu odnowiono
I pięć ofiar bezbronnych padło tam w Warszawie
I znowu wraz z Traugutem, znów pięć ofiar legło,
Całe Bóstwo Chrystusa dwakroć w rany wbiegło,
Dwa razy Bóstwo stwórcy z podstawy wzruszono,
Dwa razy samej boskiej urągano sławie —

Znów dla większej ironij tej najświętszej matki
Wskrzeszono siedem bolów, siedem miast wyrznięto,
Deptano dziatki, Boga i kościoły boże!
I wszystko zatopiło krwi niewinnej morze
Pięć ran — siedem boleści, to puścizną świętą
Narodu, co poświęcił jestestwa ostatki —
Pięć ran, siedem boleści! to cały skarb ludu,
Co w pięć ran, w siedem bolów sam wzrósł Bóstwem cudu.

I trzykroć powtórzono jej święte boleści,
Na każdym powtórzono mękę Chrystusową,
Pięć ran, siedm boleści razem połączono;
Krzyżem — męką — deptaniem, wszystko dokończono,
Za to że tutaj w ciało zamienia się słowo,
Że całego Chrystusa naród w sercu mieści.

Jeźli nie wierzysz, to patrz, gdzie Wąchock, Suchodniów,
Gdzie Łomża i Węgrów,
Tomaszów i Janów,
Nakoniec owe znane bojem Siemiatycze,
Siedem mórz krwi przeświętej, więcej krwi nieliczę....
Bo chcąc przepaścią ducha przepaść krwi przeliczyć,
Potrzeba wszechmoc Boga swem bóstwem dziedziczyć,
Bo krwi morze jest każdym domu naszym progiem,
Chcąc ten ocean dźwignąć potrzeba być Bogiem.

A jednak Matka Boska łzą je przemierzyła
I w tej perle Syonu taka moc i siła!
I prócz szmeru boskiego tej niebios łzy bożej,
Nikt piorunami pieśni potężnej nie złoży,
I ta łza matki boskiej nieraz skamieniała,
Kiedy nad tą przepaścią rozpaczy zadrżała.

Tu się o skrzepłe piersi posoki rozbiła
I rozbita padała niebios djamentami,
A tam Bóstwa odmętem nad krwi odmętami
Czuwała i łezkami krwi mękę odbiła,
I w konającem sercu czułą miłość wskrzesza
Największą czułość z zgonem krwawych matek miesza.

O! łezko jam cię widział, gdyś ty przebiegała —
Z konania do konania tyś płynęła cała,
Ze wszystkich naszych zgonów tyś równianki wiła,
W każdej kropli krwi naszej djamentem swym tkwiła,
Z obozu do obozu leciała swem tchnieniem
I nad pękniętem sercem drżałaś swojem drżeniem,
W odlatującej duszy wszczepiałaś Nieb ciszę.
Po zawieszonym boju, jeszcze cię dziś słyszę.

Nad jednym drżałaś matką najczulszą na świecie,
Nad drugim bladą twarzą najmilszej kochanki,
I snułaś z ideałów eteryczne wianki —
I pieściłaś z tych dziatek najkrwawsze to dziecię
I chłodziłaś te piersi znużeniem wyschnięte —
I wszędzie łzo, ty byłaś; a twe szmery święte
Jeszcze drżą nawet dzisiaj po skończonym boju;
I w tobie jednej tylko mam dzisiaj nadzieję,
Bo bój dziś nieskończony, kiedy krew się leje —

Kiedy katy podnoszą nieznużone ręce
A każdy Polak w boju, kiedy żyje w męce,
Dla każdego ty jesteś lubem odpocznieniem
I całe pokolenie pod twych pereł cieniem;
Żebym mógł tylko ciebie płynącą wystawić,
Twym jednym błyskiem, mógłbym kraj wybawić,
Lecz ty grasz tylko sama na tych konających,
Kąpiesz się swym djamentem w naszych łzach gorących.

A kiedy łez — krwi samej nam w sercach niestało,
To twe Bóstwo brylantne w grom niebios padało,

I w piorunie stawiłaś tę strzechę słomianą
Ideał szlachetności — poświęcenia czynu,
Cały wity z piorunu, z jutrzenki rubinu
I stanęłaś tą strzechą prostą i złamaną
Na złamanym piorunie, który smętny — blady
Nie miał potęgi zniszczyć tych wrogów szkarady.

I stanęłaś o! święta w tych pamiętnych lasach
Pośród naszych młodzieńców, jako stal czarniawych
Jako mogiły ciemnych i rozpaczą rdzawych
I utonęli wszyscy w tych płomiennych czasach,
Które były promieni — płomieni wykwitem,
Które były najwyższym tej ziemicy szczytem.

Nad każdym się uniosłaś niebios aureolą,
I każdemu uwiłaś gwiazdeczkę na skroni,
I ich skąpałaś w rosie ich rodzinnej błoni,
I wszystkich obdarzyłaś najwznioślejszą wolą —
Na ich krwi zaszumiałaś dzieciństwa eterem,
I każdego ochrzciłaś niebios bohaterem.

I wykąpawszy wszystkich łzami najczulszemi
Uczyniłaś ich krzyżem najwznioślejszym ziemi
I uwiłaś im dusze z samych ideałów,
Z samych księżyców tęsknych — z lazurów — z krzyształów
I taką im włożyłaś tęskność w duszę jasną,
Że ich oczy drżą całe, jak gwiazdy, co gasną,
Ich duchy są tęsknotą ich serca — ich myśli —
I łza ta jakieś wizje dziwne z ich serc kryśli —

I wrogi krzyże czując w naszem polskiem łonie,
Na krzyże uderzają — wszystkie krzyże palą
I nasze krzyże płyną jedną ogniów falą —
I cała święta Polska Bożym krzyżem płynie
Na wieki połączona tych ogniów pożarem,
Na wieki pozostała bożym krzyża czarem,
Na jednym ognia stosie Polskę z krzyżem spalić,
Krzyż — Boga — Polskę, razem na ziemię obalić,
Czyż można więcej Polskę ze krzyżem połączyć?
Jak jednym wielkim ogniem obrazu dokończyć.

Tak Polska z krzyżem jedną iskrą połączona,
Jednym ogniem — pożarem na stosie spalona,
Płonąca jedną łuną, w kłąb dymu spiętrzona,
I na piersi przelotnych pisząca błyskawic,
Krocząca z krzyżem razem do najwyższych granic
Tworzy dziwne postacie. Łza Maryi dziewicy
Zdobi ten boży ogień brylantem źrenicy
I niesie, niesie w niebo ten ogień Bengalu
Polskę i krzyże razem stawia pełna żalu
I powiada z boleścią: O! synu! o Panie!
„Krzyż — Polska zawsze razem, to nasze kochanie!“

Krzyż — Polska jedną duszą, patrz garścią popiołu
Czerniącą wieniec boży niebieskiemu czołu,
I co ta garść popiołu w serce niebios wryła,
To chyba jedna łezka djamentem wypiła —
Jedna łza naszej Maryi, która cała — cała
Nad krzyżowym pożarem duszą swoją drżała,
Krew — krzyże — święta Polska, jednym ogniem płoną
I idą prosto razem w stworzyciela łono —

A wtedy w całem niebie taka była cisza,
Tylko czasem łzy mnogie drzały szmerem cichym;
I drzały — grały, lubo na ognisku błędnym,
Srebrne skrzydła aniołów, jakby liściem zwiędłym
Szumiały cicho — głucho, niebiańskim uśmiechem,
Tylko dziwnem uczuciem, co za towarzysza
Ma żal — tęskność i boleść, te znajome córy
Od których tak dalekie są niebiańskie chóry —

I męka świętej Polski harmonję nieb psuje,
Niebo w samych niebiosach, a niebios nie czuje,
Bo nietylko zniszczoną harmonja społeczna,
Ale ta cisza boska, to cisza odwieczna
I nawet same pękło jasne niebios łono —

Nawet wy same nieba pomódz nie możecie,
Bo tylko sama Polska własną cnotą świętą
Może być z krzyża z męki własną mocą zdjętą
I chociaż całe nieba nad nią krwią płaczecie,
Wy tylko przed nią, uderzajcie czołem,
Bo tylko Polska sama zbawienia aniołem
Być może, li dla siebie: bo jest wolną Panią
Zwieszoną między niebem a piekieł otchłanią.

Tak wyrzekł Chrystus, Pan nasz ten dawca swobody
„Ale być muszą Polskie niezrównane gody —
„I będą, będą, niech się naprzód nieba cieszą
„I Polacy na gody wszystkich cnót pospieszą
„I takie będą cnoty, takie Bóstwo męztwa
„I nad piekłem zabłyśnie raj niebios zwycięztwa.

„Ale nasz wielki panie! te wszystkie zarzuty,
„Które śmią na nich ciskać piekielne szatany —
„Ten duch święty i boski, ten duch nieskalany,
„Którego chcą zamienić w jakiś jad zatruty,
„I te wszystkie nieludzkie, co chcą wywlec zbrodnie
„I po pod Polskę kładną szatańską pochodnię,

„Te straszne skrytobójstwa, co im zarzucają —
„Panie! o Panie! ty wiesz, co w tych piersiach gości.
„Że tam nic nie ma oprócz najświętszej miłości,
„Że kiedy serca polskie wielki akt spełniają
„Wielkiej sprawiedliwości, to serca pękają,
„Jak zasłona , co padła rozdarta na szmaty,
„Gdy w twoje boże łono uderzają katy.
„I wtedy biedny anioł, co musi uderzać
„Drżał jak ta zasłona na wielkim ołtarzu
„I musiał otchłań piekła niebem swem przemierzać.

„O! Panie! ty rozumiesz, co walka z szatanem,
„Tyś bóstwem swojem zmierzył wszystkie piekła razem
„A dusze tych walczących twoim są obrazem;
„I nieraz łzą litości drzą nad piekieł Panem
„Daliby dusze — ciała, za ich wybawienie,
„Ale muszą ich cisnąć między śmierci cienie
„I muszą grzech w nich zabić i śmierć zamordować.
„Panie! ach! Panie! nie racz tych błędów rachować —
„Panie ach! Panie! przebacz, to są twoje dzieci!! —

A Chrystus twarz swą zakrył i z pod Bóstwa świeci
Coś niby łza przeboska, i światło różane

Padło na biedne dzieci, krwią bratnią zalane,
Ale drzenie nieziemskie przeszło ziemskie dzieci
I zaszmerzyło z cicha: „Czyliż ziemia ziemią?
„Czyż pyły tego świata nawet was zaciemią?
„Czyż wy, którym niebiosa i anioły służą
„Macie niecnych sposobów, wy macie używać?
„Których całe niebiosa objąc ni wyśpiewać
„Nie mogą, tylko we łzach całe dla was płużą
„A wy szatanów przeciw piekłu macie stawić
„I w plugawej posoce własne dłonie krwawić?

„O! nie, bo zanadto Polska jest wysoką,
„By miała w przepaść skakać, a w przepaść głęboką —
„Czyż myślisz, żebym piekła nie mógł zamordować
„A jednak ach! Bóg tylko walczy po bożemu —
„Pozwalam jemu zdążać ku dniowi sądnemu
„A tam sam szatan sobie ma los przygotować
„Podobnie i wy z piekłem —
Lecz łza Matki Boskiej
Na tym szmerze zagrała gwiazdy Chrystusowej:
„Patrz, wszak i inne ludy to samo czyniły —“
A na to gwiazda rzekła —„ Wnich są boże siły!
„Innym ludom to wolno — ich byt początkowy
„Nie wyszedł prosto z nieba i z tej łzy przeboskiej.

„Oni z pyłu powstali — pyłem tylko żyją
„I tylko w pył nikczemny całe się obrócą —
„Ale wy, wy dziateczki, wy moje jedyne!
„Ja w was chcę zgładzić, zniszczyć wszelką świata winę,
„Wasze cnoty tę ziemię z ziemi wyrwą, zrzucą
„I całego Chrystusa na wieki odbiją.

„Wy nawet nie możecie zachwiać się na chwilę,
„Wiem, że wam urągają, że się śmieje tłuszcza,
„Że was wszystko, co ziemskie, co ludzkie opuszcza,
„Lecz wy w krzyże zmienieni, na krzyżowej sile
„Oparci, nie możecie być nigdy zniszczeni
„Pośród najokropniejszych — piekielnych płomieni.

„A to jest dla was wiecznie największym pewnikiem
„Że tu was wszystko ziemskie odtrąca od siebie
„I że cała nadzieja wasza w Bogu, w niebie,
„Bo wszystko, co jest tylko barbarzyństwem dzikiem
„Nie może nic wspólnego mieć z wami anioły;
„Oni dzwigają ziemię, a wy swemi czoły
„Tylko w jasne niebiosa dążycie swym duchem —
„Oni gną się pod wściekłym materyi łańcuchem —
„Wyście ją podeptali tem bożem deptaniem
„Na wieki połączeni z Chrystusa konaniem,

Nieścież więc godnie — bosko te Chrystusa dary
I rośnijcie cnotami do Bóstwa ofiary
I stańcie się Chrystusem wiarą — poświęceniem,
Męką i cierpliwością, i cierpień natchnieniem,
I stańcie się anielską przeboską prostotą,
I zostańcie cnotami z cnót wyrosłą cnotą;
Wy jesteście Chrystusa bożym ideałem
Bóg tylko dla was wszystkim, dla was celem całym,
Bóg tylko sposobami — Bóg i waszą drogą —
Bóg bytem — Polską — szczęściem i nadzieją błogą.

Bóg wszystkiem tutaj zawsze i jedynem celem
I jedynem uczuciem — bratem — przyjacielem —

I prawem waszem, życiem, każdym waszym ruchem;
Niech wami pozostanie, waszem sercem — duchem —
I każdą waszą myślą i każdem westchnieniem —
Niech będzie waszym cieniem, bądźcie jego cieniem,
Niech będzie waszem światłem i waszem spojrzeniem
I każdym czynem waszym, każdym waszym krokiem,
Niech będzie waszym tchnieniem, jasnem ciała okiem.

Niech będzie i snem waszym i każdem czuwaniem,
Niech i miłością będzie i każdem kochaniem,
Jeźli tak wzrośniesz tylko cała Bogiem Boga,
Wtedy ujrzysz czem jesteś o ma Polsko droga!
Bóg tobie pokazuje, że ziemskie sposoby
Są to tylko dla ciebie coraz nowe groby;
Przez siebie tylko trafiaj do nieb stworzyciela
I przez Boga do siebie; na Bogu oparta
I z Bogiem w siebie ufaj, tylko w jednych siebie
A musisz cała stanąć w celów twoich niebie,
Tylko być musi wiara prawdziwa — otwarta
I niczem nieodbita od boskiego celu.

Takto gwiazda Chrystusa na łzie Maryi grała,
A ta łza tylko głucho dziwnym jękiem łkała,
I wszystko srebrem łez swych na niebie pokryła —
Purpurą krwi niewinnej boskie stopy myła,
I odrzekła na wszystko tą krwią najświetniejszą,
I dziecinę zabitą z najmniejszych — najmiejszą
W serce Boga uniosła, słowa nie dodała,
Tylko się sama w świętą Polski krew przelała.

### *Pieśń trzecia.*

I byli wieszcze, co twe sny śpiewali,
Ale pomarli, nim na czynów fali
Cała się wzniosłaś i już nie ma komu
Wznieść się w niebiosa do twej krwi ogromu;
Tylko krew bryzła na twarz mą rolniczą,
Półsielską — wiejską — i pół wojowniczą
I wiarus musi kosą swą rozdzierać
Papier, co niby ma wasz cień zawierać.

Papier w kawałki w polu bitw rozdarty,
Tyle pamiątki, co tu na te karty
Morze krwi bryzło — sama krew pisała
I ztąd wyrosła ta pieśń moja cała;
To krwią płynąca — to krwią niby żywa,
Krwią mi się z serca i z duszy wyrywa,
I krwią się wtłacza, krwią przerywa ciszę
I to się zowie, że sam niby piszę.

A to wy sami, sami to kreślicie,
Niby to wasze przechowane życie —
I skroń niejedna na tych kartach pękła

I pierś bez jęku dziwnym głosem jękła —
I same tylko krwawe, jasne plamy —
I bohaterstwo bez granic, bez tamy;
I ta bezbronność, która glob zachwyca
I ta słoneczna z słońc wita źrenica.

Ach! wy nie wiecie, co to kosą pisać,
Krew świętą — Boską z polskiej łzy wysysać
A później bryznąć łzami najkrwawszemi
Na wszystkie krańce i nieba i ziemi;
Papier pod kosą rwie się na kawały.
Szmatami serca rwie papier na szmaty,
Porwane ciała rzuca między katy —
I cóż dziwnego, że te kęsy drżały —

Że drżą litery, te krwawe bryznięcia,
Że drzy ta ziemia pod memi stopami
I ze drżą strofy drżącemi strofami,
Coś niby łkania drżące — bez ujęcia
I bez porządku rwanemi kroplami
Leje się mózg mój pożarów żużlami,
Niby to śmierci straszliwe rozkłady —
Takimi pieśń ma roztacza się grady —

Niechże w porządku rozpacz się wyjawia,
Niechże w porządku ta rzecz się wykrwawia,
Niechaj w porządku piętrzą się te wycia
I ten wysiłek piekielnego życia,
Tych bydląt, które rwą w kęsy te ciała.
Niech więc i rozpacz szronem posiwiała

Przepaść tych mordów i tej krwi bezkońca,
Nieeh to w porządku oświeci blask słońca.

Ja tylko rzucam wszystko bez przerwania,
Rzucam tę przepaść przepaści konania,
Rzucam przepaścią i sam w przepaść runę,
Przepaścią dźwigam tę wspomnienia trunę,
I ona także pękła na tem łonie.
Sam jestem zgonem w niebotycznym zgonie.
I wszystko pękło — nawet twe konanie
I pękł twój obraz o! nasz Boże! Panie!

I wszystko pękło nad nami — pod nami
I w nas, w nas samych wszystko do atomu,
Do błyskawicy pękło i do gromu
I wszystko prysło — leci kawałami
I leci prochem i prochów śladami
I słowa pękły — Zlituj się nad nami!
Nawet zmiażdżoną ostatnią modlitwą
Znikłą litością nad Polską i Litwą.

Wszystkiem rozpękłem i wszystkiem zniknionem,
Mam kosą moją nad tem echem dzwonić,
I pordzewiałem kosy mej żelazem
Stać się minionej przeszłości obrazem
I krwią zastygłą odbicie krwi ronić,
Jak spiżem wznieść się nad przebrzmiałem zgonem
Rozedrzeć papier — wszystko — i powietrze,
Czyliż tej kosy śladu nic nie zetrze??

Koso! tyś moje łono — pierś rozdarła,
Tyś całą przeszłość na wieki pożarła,
Ja całym duchem do ciebie przyrosły,
Myślałem, że twe blaski mnie uniosły
Na wieki z tobą, na wieki złączony,
Że z tobą przejdę przez rodzinne strony,
Że mnie od ciebie nic tu nierozłączy,
Że u stóp twoich mój żywot się skończy.

Lecz tyś tu pękła na łonie pękniętem, —
Ja twe atomy łkając pozbierałem,
I jak relikwie na piersi dźwigałem,
I jesteś tylko ach! odbiciem świętem
Wszystkich obozów, com przebiegał z tobą
Ty świecisz braci zginionej ozdobą,
Ty świecisz niebem tych aniołów świętych,
Wszystkich tych dziatek przez Boga przyjętych.

Ich więc postacią rozdzieraj mą duszę
I wejdź w me ciało ostrzem swojej stali,
Ujrzysz ich obraz, co się w sercu pali,
Ja tylko nimi żyć mogę — żyć muszę
Ja nimi jestem — ja niosę ich ducha,
Bez ich postaci ta ziemia jest głucha,
Bez ich uścisku, bez ich wspomnienia
Ach! nie ma we mnie bytu — życia — cienia.

Oni na miejscu we mnie są wszystkiego,
Bez nich ja nie mam bytu człowieczego
Te dwa obrazy krwią stopione moją

Obrazy piersią ach! odbite twoją,
I te obrazy, które we mnie rosną
Są tylko jedną życia mego wiosną
I was się tylko moje życie trzyma,
Bez nich ni życia, ani bytu nie ma.

Jednak ta kosa odbija tę krew,
Co na szczyt trysła tych krzyżowych drzew,
Ramiona krzyżów krew tę biorą w siebie,
Dopiero wtedy krwi polane morzem
Błogosławieństwem kwitną w ziemi bożem;
I kwitną szczytnie, jak gdyby na niebie,
I bez krwi polskiej nie ma tutaj cudu
I z krwi spłynęła wolność twoja ludu! —

Co kto krwią swoją napisze — nakaże,
Tego nikt w świecie nie zedrze — nie zmaże;
I krew — krew nasza, to nasze ołtarze,
Tego nie wydrą króle, ni mocarze
I to, co nasza krwią kosa wpisała,
Tego szatańska ta potęga cała
Ni zachwiać może, ani nawet wzruszy,
Bo to jest Bóstwo samej Boskiej duszy.

I krew ta święta na twarze bryznęła
Samych aniołów, co w świętej purpurze
Były skąpane, i krew na lazurze
Składały, i łza cała krwią stanęła
Łza Matki Boskiej co krwawo szumiała
Do serca syna krwią dzieciątek drzała.

A na to gwiazda najmilszego syna
Gwiazda Golgoty swym błyskiem odrzekła
I pokazała te bezdenne piekła,
Przez które przejdzie ta Polska kraina.
Wszystko! ach! wszystko, co znosił syn Boży,
W tem wszystkiem Polska krwawą skroń położy;
Zwątpi o sobie i także zawoła,
Że tyle cierpień sama znieść nie zdoła.

Szatan podniesie jej najmniejsze skazy,
Ze śmiechem ryknie: — „Barankiem bez zmazy
Ty się mianujesz — a tyś — tyś zbrodniarzem
Większym niż wszystko, co ten świat zmazało,
Ty się mianujesz idealną chwałą,
A ty kacerzem — to nie my cię karzem,
Lecz twoje zbrodnie, straszliwe szaleństwa —
To nie my tobie zadajem męczeństwa".

I tutaj szatan udaje świętego,
I pokazuje inną lepszą drogę
Niż krwawa droga a krzyża Bożego
I pokazuje wszystkie kary srogie,
Których uniknąć mogły dzieci krzyża —
I szatan czuły przed nimi się zniża
I coś — coś prawi o dobroci cara
I że jest zbrodnią ich święta ofiara.

Takto w oliwnym gaju szatan prawił —
Bóg się nie zachwiał i krzyżem świat zbawił,
I jemu inną drogę pokazywał

I Boga nawet zbrodniarzem nazywał;
I wam — wam dziatki prawić będą ludzie
I motłoch ciśnie na was swym kamieniem —
Wy nie zwątpicie o swej męki cudzie,
Śmiało zdążycie za krzyża promieniem.

I na was rzuci obelg pociskami
Głupich świętoszków zwierzęca gromada —
I szatan na nich zagra swemi łzami
I będą płakać nad niebios cudami,
Niby z litością kroczyć między wami —
Każdy morały dla was prawi — gada,
Czyż oni wiedzą, co to krzyża droga?
Przez krzyż i Polskę do niebios — do Boga.

Choćby nam rzekli, że inne sposoby
Są do zbawienia do Pana nad Pany,
Ach! to nie ludzie, to tylko szatany,
To tylko straszne pobielane groby,
To są doktory albo faryzeje,
Przez nich to szatan wygłasza swe dzieje;
Tobie gościniec jeden przez Golgotę,
Cnotą tułaczą, przez męczeńską cnotę,
Do cnoty tylko, do cnoty prostaczej,
Do cnoty krzyża, do cnoty tułaczej.

Bo przez krzyż tylko zdążysz do ojczyzny,
Przez Polskę tylko i przez własne blizny,
Możesz Chrystusa, Chrystusa zobaczyć,
Bo on dla cierpień może nam przebaczyć.

Przez krzyż do krzyża — to są wasze cele
Nie upadajcie tylko przyjaciele!
Bądźcie w prostocie tylko najprostszymi
Nadto na rozum swój tylko nie bierzcie —
W cuda swej męki w prostocie uwierzcie —
Zbawienie wasze w wolności cnej ziemi. —

I wszystko musisz mój narodzie znosić,
W tobie jedyne najświętsze męczeństwo,
I zedrą z ciebie nawet człowieczeństwo —
Ach! oddal kielich, będziesz także prosić,
Ale powtórzysz — niech się święci wola
Boga najświętsza; niechaj nasza rola
Rodzi nam tylko ciernie najostrzejsze —
Ach! to są nasze modlitwy najszczersze.

Bo wy niechcecie nic oprócz godności,
Nic oprócz cnoty, prócz tej szlachetności,
Za prawdę tylko położycie kości
Nieskończonością na nieskończoności —
Zwieszeni tylko nadziemnym swym duchem,
Wy jedni tylko wszystkich nieb nadzieją —
Wy jedni tylko prawdziwą ideą —
Pod świata zbrodni padacie łańcuchem.

Lecz gdy piekielnie piekło się wysila,
To jest ostatnia ich wysileń siła;
Wszędzie pieniędzy moskiewskich zwycięztwo,
I wszędzie musi wytrwać wasze męztwo,
I wszędzie prawie ze czci was odarto,

Wszędzie do głazu zapomnień przywarto —
I wszędzie w świecie o was zapomniano —
Świecicie tylko Chrystusową raną!

Lecz to ostatnia godzina jest w gaju
Oliwnym, którą Chrystus dźwignął skronią
I krwawe poty po twych licach dzwonią,
Przez serce piekła musisz się do raju
Cnotą przedzierać i najświętszym duchem,
Ty musisz konać pod wrogow obuchem,
Im ci samotniej — okropniej i smutniej,
Im ci żałośniej — boleśniej — okrutniej —

Tem kres jest bliższy twego zmartwychwstania,
I wszystko pęknie nawet do konania,
Do śmierci samej, wszystko pęknie w tobie
I będziesz żywy spoczywał w swym grobie.
Będzie ci smętno, będziesz zapomniany
I niepamięci nieść będziesz kajdany
Wyprze się wszystko ciebie prócz jednego
Boga i Pana — ach! ojca waszego.

On ci pokazał wszystkie twe zawody,
Że zapomniały cię króle — narody,
Że cię zawiodło wszystko na tej ziemi,
Żeś ty sierotą pomiędzy swojemi;
I że ciśnięty między twarde głazy
Ztwardłeś kamieniem boleścią sto razy —
Wszystko straciłeś do ludzkiego głosu,
Tyś opuszczeniem wśród opuszczeń losu —

Tyś zapomnieniem w zapomnień kolei
I beznadzieją pośród beznadzieji,
Szczytem bezczucia i szczytem rozpaczy
Ty już krwi nie masz, krwią się skroń nie znaczy,
Tyś tylko zawsze wśród katów, siepaczy
Pośród zaprzańców — wśród ich kału — błota,
Tyś zapomniany — przepadły sierota —

Lecz Bóg umyślnie ujął ci wszystkiego,
Abyś czuł tylko ojca litośnego —
Wszystkoć zawiodło — wszystko zapomiało,
Tylko Bóg jeden z swą najwyższą chwałą,
Bóg ci zgotował losy swego syna,
I w tem twych cierpień cała jest przyczyna,
Tylko miej wiarę, i w samego siebie,
I w tego Boga, który jest na niebie.

Bóg ci wystarczy za świat zimny — cały —
Za wszystko — wszędzie — za twe ideały —
I za tych ludzi zimnych — głupich — dumnych —
On ci wystarczy za wszystkich rozumnych,
Za wszystkie skarby, i za wszystko złoto.
On twojem męztwem — on twoją i cnotą —
On więcej — więcej — niż wszystko stracone —
W nim i przez niego — nim wszystko stworzone.

W nim i przez niego wszystko jest wskrzeszone
I niepowrotne, wszystko powrócone,
Z nicestwa nawet życiem ożywione —
On wszystkiem dla nas. Patrz serca skruszone
Tylko do ciebie — tobą — w tobie dążą,
I rozkochane w twej miłości krążą;

I z tobą giną, w tobie umierają,
Dla ciebie nawet samą śmierć rzucają —

Śmierć za Ojczyznę — wydarłszy się śmierci
U twych stóp złożą swej istoty ćwierci,
A ty w te krwawe bez nazwy atomy
Rzuć ach! rzuć Panie! swoich cudów gromy,
Bo to tułactwo jest nawet rozkoszą —
Swem opuszczeniem — twoją chwałę głoszą
Osamotnienia i wszechwzgardy mękę
Wznoszą ku niebu zmartwiałą swą rękę —

Byle wiedzieli — łza Marji dograła,
Że tem twa Boża wychwala się chwała,
Byle wiedzieli, bo oni nie Bogi,
Że ten krzyż twardy to są twoje drogi —
A gwiazda na to — Czyż włosek najmniejszy
Niejest policzon od najpotężniejszej
Prawicy Boga, co wszystkiem jest wszędzie —
Polska przez krzyże jednym krzyżem będzie.

Lecz do obrazów prawdziwych pożarów
Trza było by wróg wysadził w powietrze
Wszystkie klasztory — wszystkich księży razem,
Aby świat zadrżał przed piekła obrazem,
Którego nigdy żaden grom nie zetrze;
By samem piekłem — piekielnych ciężarów
Dodał — domierzył — miary przepiekielnej,
By przeciw Bogu stał jak wróg śmiertelny.

On musi wszystko wyczerpnąć ze złości
I w oczy cisnąć wszystkie okropności,

Wszystkie posady zatrząść obu światów —
Do wściekłych katów dodać takich katów,
By samo piekło zadrzało w swej drzeni.
Nic nie zostanie prócz piekieł płomieni —
By szatan zadrzał w swej piorunnej bliznie,
Ze zbladłem licem drżał przed swym obrazem —
Że wszystkie piekła połączone razem
Nie mogą takiej wyrazić otchłani —
Przed tą przepaścią cofną się szatani.

Bo to tak podłe — tak niecne — tak niskie,
Że się sam szatan wzdrygnął przed tym katem,
I sam Mikołaj w piekle do narady
Należąc, zadrżał przed temi szkarady;
„Bo to tak głupie — ryknął gardłem całem —
„To nie szatańskie — ludzkiem głupstwem śliskie
„To podłe — nizkie — nawet bez rozumu
„To wyskok wściekły beztołkiego tłumu.

„Bo moje dzieła były posągowe
„I miałem z piekła szczytną gromów głowę;
„I zawsze było coś z piekła wielkości —
„Teraz nic nie ma oprócz okropności
„Najgłupszej w świecie człowieczej podłości.
„Wy dodajecie tylko Polsce blasku
„I piekło skona wśród waszego wrzasku —
„To jest nasz koniec o! bracie szatanie!
„Już nie ma środka na bydląt tych rzuty
„Bydlę, bydlęciem na wieki zostanie —
„Tam nie ma piekła — tylko chycle — knuty. —

## *Pieśń czwarta.*

O! ziemio czynu! w złoto oprawiona,
Promieniejąca cała brylantami,
Cała deptana piekieł szatanami —
Tobie wydarli Boga z twego łona;
Wszystkie świętości w śmiecisko ciśnięto —
Z twymi ołtarzmi tyś trzykroć jest świętą,
Bo oprawiono ciebie w cne świętości
W święte monstrancje z ołtarzów ciśnięte,
W kielichy Boże — w ciało i w krew Pańską —
Tyś wtedy była najwięcej chrześćjańską.

Oprawić ciebie w djamenty z ołtarzów,
Sługami twymi stworzyć sługi boże,
Wszystkich zatopić w jedno krwawe morze
Całą uczynić otchłanią smętarzów —
I pójść — pójść dalej i w ciche klasztory
Wprowadzić Polskę krwią promieniejącą,
I relikwiami wszystkich świętych drzącą.
Tem są złamane ostatnie zapory,
Któremi Polska w wielki ołtarz zlana
W miejscu Chrystusa ginie podeptana!

Ile lamp płonie na grobie Piotrowym,
I ile kolumn dźwiga twą świątynię,
Ile gwiazd jasnych po tem niebie płynie,
Takim zastępem zakonnym i nowym
Przyozdobione twe szeregi święte!
Twe zakonniki całe w niebo wzięte,
Gnane jak zbójcy — jak popioł rozwiane —
W Polską koronę zmienione — wcielane.

Polsko! ty jesteś ołtarzem — zakonem!
Monstrancyą — hostją i świętym kielichem!
Modlitwą jesteś, litanją najświętszą —
Ofiarą bożą, ofiarą największą —
Westchnieniem razem zakonnem i cichem,
Świątynią jesteś — bo tych świątyń zgonem
Wróg pokazuje, że chcąc w cię uderzyć
Trza wściekłość przeciw ołtarzom wymierzyć —
Zakony złączył z nami i kościoły
Ach! my je niesiem z krwawionemi czoły.

Mordował dzieci — dziewice i matki,
Ale to wszystko dla niego za mało —
Uderzył w księży, uderzył w pasterzy,
I tem ich zmienił w cnych polskich rycerzy.
W ciche klasztory — ugodził w te chatki,
Kędy się bóstwo modlitw ukrywało,
Które za katów swoich się modliło —
W bezbronne piersi bije piekła siłą.

Złotemi włosy naszych świętych dziewic
Oplótł sakrament z najświętszych najświętszy!

Morzem wydartych tych słonecznych źrenic
Otoczył ołtarz na globie największy,
I z serc wydartych uczynił koronę
I z dusz pękniętych do hostji, zasłonę —
Nakoniec Polskę w cną hostję zamienił
Krwi najcudniejszej słońcem opromienił.

Nakoniec Polskę w religję zamienia,
W samą modlitwę — w klasztor nad klasztory —
Pękły zakonne kraty i zapory:
Polska się w klasztor; w kościół rozpostrzenia
I Polska krwawa od morza — do morza
Staje promienna, jak świątynia boża —
Wszyscy zakonu bożego są dzieci —
Zakonem bożym cała Polska świeci.

Nie ma zakonów, bo Polska zakonem —
Nie ma kościołów — Polska jest kościołem!
Tysiącem księży mszalnych otoczona,
I w sam najświętszy sakrament zmieniona —
Sakramentalnem swem przeboskiem czołem
I na krzyż wbitem swem skrwawionem łonem —
Ona zastąpi wszystko, co jest święte
I wszystko przez nią będzie w niebo wzięte.

I tym sposobem z zwyczajnego ludu
Wróg go podnosi do Bożej ofiary,
I do samego najwyższego cudu —
W nim boże piękno i boże są dary,
W nim sam Bóg mieszka z całym firmamentem.

Polska drzy jedna nad kału odmętem
I żyje w Bogu, żyje tylko Bogiem,
Zwieszona — drząca nad zniszczenia progiem.

Wyczerpnął naród męki ostateczność,
Tak, że zadrżała w niebie sama wieczność!
I z gwiazd swych wstały największe genjusze
I u stóp stwórcy kładną Polski duszę.
Z trzech mistrzów naszych jeden głos wychodzi
I w samo słońce swojem słońcem godzi;
Mistrzowie nasi! wyście wyczerpnęli
Słowa potęgę — nic nam niezostało,
Tylko krwi morze, co morzem się lało —
Krew z waszą pieśnią zmieszali anieli.

I krew się w pieśni — pieśń się w krwi odbija,
Do tego łzę swą dodaje Maryja,
I to jest wszystko, co zostało z bojów —
Jednak firmament wśród niebios podwojów
Ach! nie miał jeszcze nic więcej boskiego —
Bóg dodał tylko krew syna swojego.
I jednym boskim zachwyca obrazem —
Krew boską — Polską Bóg połączył razem
I nic — nic więcej z Bóstwa nie dodawszy
I tak ten strumień płynie najłaskawszy.

Mistrze genjusze kładną w krwi genjusze
Prądem tych mistrzów w te jasne krwi prądy —
Uderzą swojej wielkości odmętem
W bóstwo krwi święte, co jedno jest świętem —

I zedrą z świata te plugawe trądy —
Widzę ich genjusz na tej krwi grający —
Przychodzi do mnie, cały krwią tą drzący!

Lecz czemże wydać przepaść ich wielkości!
I oni wznoszą purpurę w cichości!
I wszystkie zdobią krańce przeniebieskie
Przez krwawe fale — młodzieńcze i rzeskie —
I ścielą w niebie same krwi kobierce —
I wszędzie jedno to rozbite serce —
Płonące w jednym — w okropnym pożarze —

A ja w ostatniem moich natchnień czarze
Podaję tylko dwa boskie żywioły —
Krew i pożary! — anielskiemi czoły
Dźwigane, przez słońc złote oceany;
I tak stanąłem krwią — ogniem zbryzgany
Dźwigając pożar mej rodzinnej ziemi,
Cały zalany falami krwawemi.

Na drugim stosie piorunnie płomiennym
Dziećię Izrael świeci blaskiem dziennym —
Równianki wszystkich dziatek Izraela
Perłami swemi w niebie uwitemi,
Które tam padły za wolność cnej ziemi
Z Polską, Izrael świętą krew podziela —

I Arka z krzyżem w świętym ogniu ginie,
Z tego purpura słonecznej krwi płynie,

A Boże dziecię, co z krzyżykiem legło
Do łez strumienia Maryi pobiegło,
Całe się w jaśni niebiańskiej skąpało
I pierś kamienną Izraela dało;
I krzyż i Arkę połączyło tęczą —
I chwały niebios dziecka wieńce wieńczą.

Trzeci stos w duchu ledwie jest poczęty,
Stos brylantowy rossyjskiej młodzieży —
Stos to przewodni, stos zorzy proroczy —
W niego się patrząc pękają nieb oczy.
Co miała Rossja duchowej potęgi,
Toć wysiliła na tej zorzy kręgi,
Którą prowadzi Polska krwi odmętem —
Cały cel Polski tutaj jest pojętym —

Nieliczny orszak, lecz z najświętszych święty,
Co było cudów na jasnych niebiosach,
Wszystko zagrało na tej zorzy rosach,
Tu jest dopiero cały duch poczęty;
Miliony zwierząt zdeptało ich bóstwo,
Wszystkich motłochów stratowało mnóstwo; —
Jednak ta młodzież przez światy zdeptana
Najczulej była witaną od Pana —

Samego Boga Bóstwem uniesieni
Do samych bożych słońc — koron wcieleni,
U stóp swych mając Polskę błagającą
Do nóg przyrosłych — skronią promieniącą;
Tylko wpatrzoną w ich kamienne serce:

„O miejcie litość nad sobą morderce!
U stóp się wijąc ciągną ich klęczący
I stawią pierwszy blask myśli wschodzącej.

Zdobyli kilku — z tych kilku są morza!
I tak się spełnia Polski myśl przeboża,
I takie tylko Polaków są cele!
Rozlać swą miłość na nieprzyjaciele —
Pójść choćby na dno i samego piekła,
Byle ich ludźmi — chrześćjanami stworzyć,
Za nich i przez nich życie swe położyć
Byle ta siła barbarzyństwa wściekła
Była zmienioną w morze wszechmiłości.
Za to oddali wszystkie swe istności
I cel ten Boży o! Polsko! dopięty,
Bo już się zaczął zastęp Boży — święty!
I ta ambona Skargi brylantowa
Odbiła w sobie cnej Polski obrazy —

Nawet sam Skarga nie wyrzekł i słowa,
Pokazał tylko na Polskę sto razy,
Pokazał tylko na stosy ogniste
Pokazał Bóstwo męczeńskie i czyste,
Które w niebiosach cną Polską płonęło,
Pokazał serce Polski promieniste
I poświęcenie, co Bóstwem stanęło —

Szczytem najwyższym i dzieła koroną,
Nakoniec krwawe świętej Polski łono,
W którym jest tylko obraz nad obrazy!

Księży nad dziećmi krwawemi — rannemi
I niemi świeci bosko schylonemi
Nad własnym wrogiem; i proszą sto razy
Wroga za wrogiem i łezkę przynoszą,
I przebaczenie i wolność im głoszą —

O cuda niebios! słuchajcie rozmowy,
Rannych z księżami — ich śmiertelne głowy
Do kolan wrogów prawie powrastały
Konając — ginąc; ostatnią łzę złożą
Na czoła wrogów i na wrogów oczy —
Ach! to jest obraz — prosty i uroczy!
Ginąc zbawiają — to jest ich cel cały
Ach! zwróć tam niebo swą źrenicą Bożą.